



nr 1 (367) marzec 2024

ŻYCIE

UNIWERSYTECKIE

ŁĄCZY NAS ŻYCIE
uniwersyteckie.pl



IV FORUM ADMINISTRACJI

DOBROSTAN I JAKOŚĆ

s. 4

PROF. UAM MIROŚLAW MAKOHONIENKO

PROF. WALDEMAR ŁAZUGA, PROF. KRYSZYNA BARTOL

PROF. UAM EDYTA JUSKOWIAK

ARCHIWUM ZAPISANE W TORFIE s.13

FREDRY 10 - NOWA STACJA PAU s.16

LUBIĘ ZAJMOWAĆ SIĘ TYM, CO TRUDNE s.22



Prof. Roman Budzinowski

Przewodniczący Komisji Wyborczej Uniwersytetu

WYBORY REKTORA UAM

Rok akademicki 2023/2024 jest rokiem wyborów. W niektórych uczelniach rektor został już wybrany. W naszym uniwersytecie znajdujemy się – tradycyjnie o tej porze – raczej w początkowej fazie kalendarza wyborczego. W grudniu ubiegłego roku Senat zarządził przeprowadzenie wyborów oraz powołał Komisję Wyborczą Uniwersytetu.

Komisja Wyborcza podjęła już kilka istotnych uchwał: ustaliła liczbę elektorów w kolegium elektorów, określiła okręgi wyborcze dla dokonania ich wyboru, ustaliła, że zebrania wyborcze zwoływane celem wyboru członków kolegium elektorów odbywają się z wykorzystaniem technologii informatycznych zapewniających kontrolę ich przebiegu i rejestrację oraz umożliwiających zapewnienie tajności głosowania, a także określiła szczegółowy kalendarz czynności wyborczych w wyborach do kolegium elektorów oraz w wyborach rektora.

W gruncie rzeczy obecne wybory nie różnią się od tych sprzed czterech lat, podobny jest też kalendarz wyborczy. W szczególności komisja podczas podejmowania uchwały o wykorzystaniu technologii informatycznych w wyborach członków kolegium elektorów uniwersytetu miała na uwadze bardzo pozytywną ocenę poprzednich wyborów. Ta forma została wówczas wymuszona przez pandemię, ale zapewniła sprawne przeprowadzenie wyboru elektorów przy bardzo wysokiej frekwencji. Należało więc z tych doświadczeń skorzystać. Do 15 lutego można zgłaszać kandydatów na elektorów we wszystkich okręgach wyborczych, a na przełomie lutego i marca (od 26 lutego do 12 marca) odbędą się wybory elektorów. W imieniu komisji zachęcam wszystkich członków naszej społeczności do udziału w wyborze elektorów. Wybór rektora ma charakter pośredni i dokonuje

się właśnie poprzez kolegium elektorów. Natomiast każdy członek naszej wspólnoty może uczestniczyć w zebraniu, na którym zaprezentują się kandydaci na rektora.

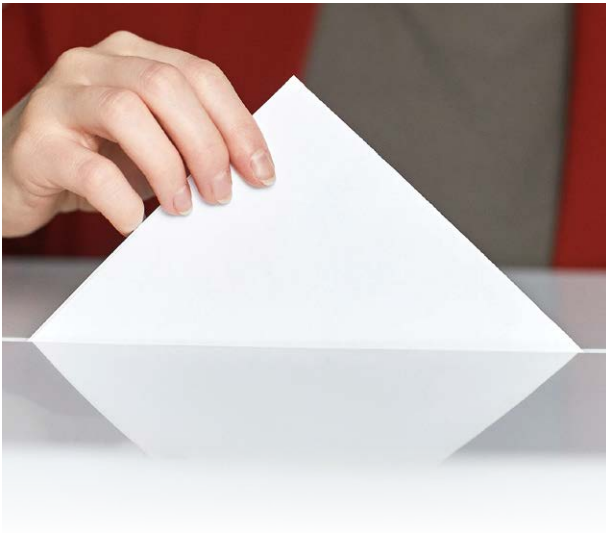
Przy okazji warto odnotować dwie nowości związane z wyborami rektora. Sejm, nowelizując ustawę Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, podwyższył wiek kandydatów na rektorów z 67 na 70 lat, a zatem dokonał bardzo istotnej zmiany w zakresie biernego prawa wyborczego. Natomiast zmiana Statutu UAM przeprowadzona na początku obecnej kadencji dopuściła możliwość udziału w tych wyborach tylko jednego kandydata na rektora. Nie jest to rozwiązanie wyjątkowe, występuje ono na wielu uczelniach.

Jej Magnificencja **prof. Bogumiła Kaniewska** na początku lutego w liście skierowanym do pracowników UAM poinformowała społeczność akademicką o zamiarze ubiegania się o stanowisko rektora w kolejnej kadencji przypadającej na lata 2024-2028. Wybory rektora odbędą się 19 kwietnia, a prorektorów – 26 kwietnia. Poprzedzi je kampania wyborcza, która rozpocznie się 8 marca, w dniu zgłaszania Radzie Uczelni kandydatów na rektora. Komisja Wyborcza Uniwersytetu 3 kwietnia ogłosi nazwiska kandydatów i kandydatek do objęcia funkcji rektora oraz termin zebrania wspólnoty uniwersytetu, na którym się oni zaprezentują. Będzie zatem możliwość merytorycznej dyskusji na temat przyszłości i rozwoju naszego uniwersytetu.



FOT. ADRIAN WYKROTA

KALENDARIUM WYBORCZE



Ustala się harmonogram zebrań wyborczych, uwzględniający podział na okręgi wyborcze, dla dokonania wyboru do kolegium elektorów w poszczególnych grupach wspólnoty uniwersytetu.

- 26 lutego** – 1, 3, 5, 11
- 27 lutego** – 8, 10, 16, 18
- 28 lutego** – 7, 17, 30
- 29 lutego** – 19, 20, 21, 22, 23
- 1 marca** – 24
- 4 marca** – 25, 26
- 5 marca** – 27, 28
- 6 marca** – 32
- 7 marca** – 4, 31
- 8 marca** – 2, 6, 9
- 11 marca** – 14, 29
- 12 marca** – 12, 13, 15

Głosowania w okręgach odbywają się elektronicznie w systemie Ankieter, w wyznaczonym dniu w godz. 9.00-10.00 (I tura), a w razie konieczności przeprowadzenia kolejnych głosowań w godz. 11.00-12.00 (II tura), 13.00-14.00 (III tura), 15.00-16.00 (IV tura).

13 marca – przeprowadza się wybory elektorów w okręgach, w których ze względów technicznych lub organizacyjnych nie wybrano elektorów

3 kwietnia – Komisja Wyborcza Uniwersytetu ogłasza kandydatury do objęcia funkcji rektora w kadencji 2024-2028 wraz z ogłoszeniem terminu zebrania wspólnoty uniwersytetu, na którym zaprezentują się kandydaci na rektora

19 kwietnia – wybory Rektora UAM

22 kwietnia – Komisja Wyborcza Uniwersytetu ogłasza kandydatów do objęcia funkcji prorektora w kadencji 2024-2028

26 kwietnia – zebranie wyborcze dla wyrażenia zgody na powołanie do pełnienia funkcji prorektorów UAM

WYDARZENIA

- 2 | **Wybory Rektora UAM**
Prof. Roman Budzinowski
Przewodniczący Komisji i Wyborczej Uniwersytetu
- 4 | **IV Forum Administracji. „Dobrostan i jakość”**
- 6 | **Wręczono Stypendia im. dr. Jana Kulczyka**
- 6 | **SortSpend wygrał w Pile**

NAUKA

- 7 | **Archeolodzy też eksperymentują**
Dr Marta Krzyżanowska
- 8 | **Przekładając obraz na słowo**
Rozmowa z dr Iwoną Mazur
- 10 | **Otwarte drzwi do turystyki**
Rozmowa z dr Anną Lubarską
- 11 | **Wzmacniamy poczucie wspólnoty**
Rozmowa z prof. UAM Barbarą Janusz-Pohl
- 12 | **Archiwum zapisane w torfie**
Prof. UAM Mirosław Makohonienko
- 14 | **Tańczyć z sensem**
Rozmowa z prof. UAM Anną Malitowską
- 16 | **Fredry 10 – nowa stacja PAU**
Rozmowa z prof. Waldemarem Łazugą i prof. Krystyną Bartol
- 18 | **Muzyka barokowa interesująca jak dawniej**
Rozmowa z prof. UAM Aliną Mądry
- 20 | **Odczarowują gramatykę**
- 21 | **Rośliny na granicy kosmosu**
Rozmowa z przedstawicielami „Space Beans”:
Joanną Wojtukiewicz i Gabrielem Ławińskim

ŁUDZIE UAM

- 22 | **Lubię zajmować się tym, co trudne**
Rozmowa z prof. UAM Edytą Juskowiak
- 24 | **Klatka po klatce**
Rozmowa z malarką Martą Czarnecką
- 26 | **Nic nie zastąpi kreatywności twórcy**
Rozmowa z dr. Adrianem Wykrotą

OPINIE

- 28 | **(Nie)Wywiad Carlsona z Putinem**
Prof. Radosław Arkady Fiedler
- 29 | **Opublikowali**
- 30 | **ŻYCIE na Facebooku**



IV Forum Administracji „Dobrostan i jakość”

W dniach 7-8 lutego odbyło się IV Forum Administracji UAM „Dobrostan i jakość”.

W tegorocznym spotkaniu udział wzięło blisko 600 osób.

Tak liczną grupę osób mógł ugościć jedynie Wydział Prawa i Administracji, którego sale wykładowe należą do największych na naszym uniwersytecie. Ale i tak w czwartkowy poranek czuło się skalę tego wydarzenia. Dość powiedzieć, że mimo perfekcyjnej organizacji w trakcie jednej z przerw kawowych ekspresy na moment odmówiły posłuszeństwa – powodem było przeciążenie i zanik dopływu prądu.

– IV Forum Administracji to zastrzyk wiedzy i podniesienie kwalifikacji, cieszę się, że tu przyszlście, aby zaczerpnąć wiedzy od naszych ekspertów – mówiła podczas otwarcia uroczystości **Karolina Domagalska-Nowak**, organizatorka i spiritus movens całego wydarzenia.

W auli pojawiło się pełne grono rektorskie z panią rektor **prof. Bogumiłą Kaniewską** na czele.

– Nie ma drugiej takiej inicjatywy jak Forum Administracji. Jesteśmy z tego powodu słynni w całej Polsce – powiedziała pani rektor. – Coś, co w przeszłości było kameralnym Forum Dziekanatów, zmieniło się w wielkie święto pracowników administracji. Niezmiernie się z tego powodu cieszę, ponieważ jesteście państwo częścią wspólnoty akademickiej, a wasz głos jest dla nas bardzo ważny – dodała.

Do historii spotkań odniosła się też pani prorektor **prof. Joanna Wójcik**:

– To, co dzieje się tutaj, jest czymś bardzo ważnym i wyjątkowym. Przez cztery lata miałam okazję obserwować, jak ewoluowały te spotkania. To jest ogromna zmiana. W tej chwili jest to profesjonalnie przygotowane, wielowymiarowe wydarzenie, prawdziwe święto administracji. Życzę wam, aby ten dzień był pracowity, owocny, ale i świąteczny – kończyła swoją wypowiedź prof. Wójcik.





CYTAT MIESIĄCA:

„Nauka” nr 4 z 2023 roku przynosi niezwykle ciekawą publikację na temat Szkoły Nestorów Nauki pióra prof. Zbigniewa Kwiecińskiego, pierwszego dziekana Wydziału Studiów Edukacyjnych UAM. Czytamy [pis. oryg.]:

„...na UAM od kilku lat bardzo aktywnie działa Szkoła Nestorów Nauki, zorganizowana i prowadzona przez dwoje uczonych **prof. Kazimierza Przyszczypkowskiego** i **dr Izabelę Cytlak**. Ta niezwykła instytucja, wymyślona przez prof. Kazimierza Przyszczypkowskiego, jest wprost genialnym pomysłem na systematyczne wykłady akademickie dojrzałym wiekiem uczonych o najwybitniejszych kompetencjach. Żyjemy w czasach, w których seniorów nauki odsuwa się od pracy naukowo-dydaktycznej, ciągle powtarzane są brednie, że to »pokolenie postkomunistyczne«, »skażone komunizmem«. Pomijając już fakt historyczny, że Polska nie była nigdy państwem komunistycznym, to skutkuje to zabieraniem głosu, dostępu do badań i kształcenia młodych kadr profesorów o wyjątkowych osiągnięciach twórczych. Inaczej i wyjątkowo dzieje się w UAM, w którym profesorom w wieku emerytalnym proponowana jest praca na części etatu, zachowują oni swoje pracownie, wpisywani są do składów kadrowych katedr czy zakładów, okazuje się im szacunek, wdzięczność, pamięć i upominki na spotkaniach kończących każdy rok. Od kilku lat czynnie i systematycznie działa Szkoła Nestorów Nauki, dająca szansę wysłuchania w Auli Lubrańskiego UAM i na kanale YouTube niezwykle odkrywczych owoców badań, nieraz wieloletnich, ale też najbardziej aktualnych, w wykładach wcześniej prawie wyłącznie profesorów emerytowanych, a obecnie także w wieku dojrzałym, choć jeszcze przedsenioralnym, a nawet wybitnych młodych uczonych. Każdy wykład jest wysłuchany (i dyskutowany) przez około 200 osób z wielu dyscyplin naukowych, z przewagą młodych naukowców, choć także studentów oraz przez niezliczoną liczbę osób korzystających z YouTube”.



Obecny w sali kanclerz **dr Marcin Wysocki** nie krył entuzjazmu:

– Jest jeden dzień w roku, kiedy mogę powiedzieć, że jestem cholernie z was dumny, z wszystkich państwa, zwłaszcza z organizatorów, którzy poświęcili swój czas, aby zorganizować dla nas to wydarzenie. Dziękuję, że jesteście, miło jest się tu z wami spotkać i integrować. Dla tych chwil warto pracować – powiedział.

Forum jest cyklicznym wydarzeniem organizowanym przez pracowników administracji UAM. Stanowi wyjątkową okazję do spotkania się w jednym miejscu przedstawicieli administracji wydziałowych i administracji centralnej, wymiany doświadczeń i wypracowania wspólnych rozwiązań usprawniających pracę. Tegoroczne spotkanie odbywało się pod hasłem „Dobrostan i jakość”.

– Uczestnicy ankiety zwracali uwagę na potrzebę informacji o tym, jak zadbać o siebie od strony psychologicznej, ale też wyrażali chęć nabywania nowych umiejętności w zakresie kompetencji miękkich – tłumaczyła na łamach „Życia Uniwersyteckiego” **Magdalena Sadowska**.

– Nam chodzi głównie o dobrostan w pracy, bo stworzenie przyjaznego miejsca pracy ma wpływ na jakość naszego funkcjonowania i nasze samopoczucie – wtórowała jej Karolina Domagalska-Nowak.

Obie panie należą do ścisłego grona organizatorów spotkania. W prace nad tegoroczną edycją zaangażowanych było około 30 osób.

Na IV Forum Administracji złożyły się: 44 warsztaty, które poprowadzili głównie pracownicy UAM, i 7 wykładów, które wygłosili wybitni eksperci ze świata biznesu i nauki, a wśród nich: Miłosz Brzeziński, prof. UEP Piotr Michoń, Maciej Makselon, dr Piotr Kwiatek OFM-Cap, Tomasz Szwed, Anna Selwakowska-Domańska oraz **prof. UAM Natalia Walter**.

Magdalena Ziótek



Wręczono Stypendia im. dr. Jana Kulczyka

W Collegium Minus UAM odbyła się uroczystość wręczenia Stypendiów im. dr. Jana Kulczyka. Stypendystkom i stypendystom gratulowali JM rektorka UAM prof. Bogumiła Kaniewska, dr Aleksander Broda z Kulczyk Foundation, wiceprezes Fundacji UAM dr hab. inż. Marcin Śmiglak i prorektorka UAM ds. studenckich prof. Joanna Wójcik.

Kapituła konkursu Stypendiów im. dr. Jana Kulczyka tym razem wyróżniła ośmioro polskich doktorantów i studentów oraz jedenaścioro obywateli Ukrainy. Wśród wyróżnionych stypendiami dla polskich studentów i doktorantów znalazły się następujące osoby:

DOKTORANCI:

- ▶ **mgr Magdalena Bogucewicz** ze Szkoły Doktorskiej Nauk Społecznych – dyscyplina nauki o polityce i administracji
- ▶ **mgr Igor Gontarz** ze Szkoły Doktorskiej Nauk Społecznych – dyscyplina nauki prawne
- ▶ **mgr Izabela Sobczak** ze Szkoły Doktorskiej Nauk o Języku i Literaturze – dyscyplina literaturoznawstwo
- ▶ **mgr Michał Zacharysiewicz** ze Szkoły Doktorskiej Nauk Przyrodniczych – dyscyplina nauki biologiczne

STUDENCI:

- ▶ **Natalia Adamska** z Wydziału Matematyki i Informatyki, kierunek matematyka
- ▶ **Jakub Łojko** z Wydziału Historii, kierunek historia
- ▶ **Julia Perła** z Wydziału Fizyki, kierunek astronomia
- ▶ **Karol Wapniarski** z Wydziału Filozoficznego, kierunek filozofia

Wśród wyróżnionych stypendiami dla studentów UAM – obywateli Ukrainy znalazły się następujące osoby:

STUDENCI I STOPNIA:

- ▶ **Anastasiia Datsyshyn** z Wydziału Studiów Edukacyjnych, kierunek pedagogika
- ▶ **Oleh Ryzhov** z Wydziału Fizyki, kierunek astronomia
- ▶ **Ganna Verbovetska** z Wydziału Nauk o Sztuce, kierunek historia sztuki

STUDENCI II STOPNIA:

- ▶ **Jelyzaveta Bulhakova** i **Kateryna Petrushevska** z Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej, kierunek filologia polska
- ▶ **Yuliia Klymenko** z Wydziału Neofilologii, kierunek lingwistyka stosowana
- ▶ **Vladyslav Kravchenko** z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, kierunek produkcja audiowizualna
- ▶ **Alona Mintianska** z Wydziału Chemii, kierunek chemia
- ▶ **Andriana Myroniuk** i **Roksolana Myroniuk** z Wydziału Neofilologii, kierunek filologia wschodniosłowiańska
- ▶ **Kateryna Shpahina** z Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego, kierunek edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych

Red.

SortSpend wygrał w Pile

Otwarte Obrony Zespołowych Projektów Inżynierskich odbyły się w filii UAM w Pile. Studenci ostatniego semestru studiów na kierunku technologie informatyczne zaprezentowali zrealizowane przez siebie projekty przed komisją oceniającą. Zwyciężył projekt SortSpend.

Komisja składała się z przedstawicieli działów informatycznych międzynarodowych firm, partnerów biznesowych Nadnoteckiego Instytutu UAM w Pile: Signify, Quad IT Global Solutions oraz Jacobs Douwe Egberts, a także przedstawicielki lokalnych przedsiębiorców – dyrektorki Biura Izby Gospodarczej Północnej Wielkopolski oraz dyrektora instytutu dr. Pawła M. Owsianego, promotora projektów dr. Tomasza Piłki. W jej skład wchodził też

przedstawiciele wykładowców NI UAM: mgr inż. Karolina Skotarczak-Dobrzyńska, mgr inż. Norbert Rataj oraz mgr inż. Arkadiusz Buchelt.

Każdy z dwunastu członków komisji ocenił indywidualnie prezentowane projekty w pięciu kategoriach: użyteczności, doboru technologii, jakości wykonania, złożoności projektu i wrażenia ogólnego (prezentacja, komunikatywność, przekaz założeń). Przedstawiciele branży informatycznej wyłonili najlepszy z sześciu projektów zespołowych.

Najwyżej oceniony został projekt SortSpend – aplikacja webowa z zastosowaniem sztucznej inteligencji służąca do skanowania paragonów i zapisywania ich danych. Użytkownik może wprowadzać zdjęcie paragonu lub ręcznie zapisywać dane zakupu (nazwa produktu,

cena, liczba) oraz nadać kategorie produktom. Serwis pozwala na analizę dokonanych zakupów w interwałach czasowych czy w poszczególnych kategoriach, zarówno w postaci tekstowej, jak i z wykorzystaniem wykresów. Sprawdź: sortspend.pl

– Wszystkim studentom gratulujemy świetnych pomysłów i ich realizacji. Powstały różnorodne, zgodne z zainteresowaniami zespołów, ale także w większości bardzo praktyczne projekty inżynierskie. Jesteśmy dumni z naszych studentek i studentów! To kolejny rok prezentacji projektów w formule otwartej – w obecności informatyków z firm będących naszymi partnerami, ale także w obecności studentów niższego roku – mówił dr Paweł M. Owsianny.

Paulina Michałek-Komorowska

Archeolodzy też eksperymentują

W nowo powstałym Centrum Archeologii Eksperymentalnej studenci testują hipotezy naukowe. To miejsce jest dla nich szansą na realizowanie własnych planów badawczych.

Do tej pory wszystkie eksperymenty nasi studenci i pracownicy wykonywali gdzie indziej, na przykład w muzeach lub nawet w domach prywatnych. To, co zostało wytworzone w eksperymencie, a czasem były to dość duże obiekty, zostawało w tamtych miejscach. Centrum zostało powołane po to, żeby wyniki eksperymentów zostawały na uniwersytecie i były wykorzystywane do celów edukacyjnych – informuje **dr Marta Krzyżanowska**, kierownik Centrum Archeologii Eksperymentalnej działającego przy Wydziale Archeologii.

Okazuje się, że archeologiczne eksperymenty są bardzo różnorodne: mogą dotyczyć na przykład sposobu wytwarzania narzędzi krzemiennych lub kościanych, wytopu brązu czy też produkcji żelaza. Właściwie każdy temat może stać się przedmiotem eksperymentu. Najpierw archeolog pozyskuje materiały do badań na wykopaliskach – mogą to być wszelkie pozostałości związane z wytwarzaniem przedmiotów: fragmenty pieców, szczątki palenisk czy nieudane wyroby. Następnie badacz analizuje te rzeczy i na tej podstawie stawia hipotezę, którą testuje w praktyce.

Doktor Krzyżanowska bada sposób wytwarzania paciorków szklanych z okresu wpływów rzymskich i wczesnego średniowiecza. W ramach eksperymentów dotyczących na przykład produkcji wczesnośredniowiecznych paciorków próbuje zrekonstruować palenisko, w którym je wykonywano, przez badanie, jakich używano materiałów, narzędzi czy wysokości temperatury osiąganego w tak prostej konstrukcji. Do takiego doświadczenia potrzebna jest przestrzeń na świeżym powietrzu, dlatego centrum pozyskało miejsce na Kampusie Morasko (teren za akademikiem „Meteor”, naprzeciwko Centrum Zaawansowanych Technologii). Studenci i pracownicy mogą również prowadzić eksperymenty w specjalnie wyznaczonej do tego sali w budynku Collegium Historicum.

Co ciekawe, nie zawsze chodzi o to, by doświadczenie się udawało. Niepowodzenia również dostarczają wartościowej wiedzy. – Staramy się jak najbardziej poznać ludzi z przeszłości, ich wiedzę technologiczną, ich sposoby użytkowania przedmiotów. Dzięki eksperymentom wykluczamy nietrafione teorie – wyjaśnia kierownik centrum.



Marta Krzyżanowska do rozwoju centrum chce zaangażować studentów. To miejsce jest dla nich szansą na realizowanie własnych planów badawczych. W tym roku mają się odbyć warsztaty nâlbindingu (techniki dziewiarskiej), a następnie – lepienia ceramiki, przędzenia, farbowania, wytopu metalu czy szkła. Takie zajęcia przydadzą się studentom w ich badaniach, ponieważ dzięki nim będą mogli dużo łatwiej rozpoznać w materiale archeologicznym pozostałości poprodukcyjne. W przyszłości jednostka zamierza również wychodzić ze swoimi działaniami na zewnątrz, na przykład na Noc Naukowców czy do Fantastycznego UAM na Festiwalu Fantastyki Pyrkon. W planach są seminaria z udziałem prelegentów zajmujących się archeologią eksperymentalną.

– Zapraszamy do współpracy nie tylko archeologów, w centrum można realizować również inne pomysły. Czasem ze śmiechem mówię studentom, że archeolodzy to złodzieje technik. Zapożyczamy metody z innych nauk – geologii, chemii, biologii – i aplikujemy je do naszych badań. Dzięki Centrum Archeologii Eksperymentalnej ta międzywydziałowa współpraca może jeszcze bardziej się zacieśnić – mówi dr Krzyżanowska.

Sama naukowczyni współpracuje obecnie między innymi z **prof. Przemysławem Niedzielskim** i **dr. Jędrzejem Prochem** z Wydziału Chemii przy badaniach związanych z produkcją paciorków szklanych z okresu wpływów rzymskich. Prowadzone badania mają na celu określenie kierunku napływu paciorków na tereny Barbaricum i sposobów ich wykonywania oraz poznanie wiedzy i umiejętności dawnych szklarzy.

Ewa Konarzewska-Michalak



Przekładając obraz na słowo

Doktor Iwona Mazur z Wydziału Anglistyki naukowo zajmuje się między innymi audiodeskrypcją. Naukowczyni realizuje właśnie projekt „Osoby z niepełnosprawnością wzroku a funkcje tekstów multimodalnych: Opracowanie modelu funkcjonalnego audiodeskrypcji”, finansowany przez Narodowe Centrum Nauki w programie Opus 24.

Czy poprawnie przygotowana audiodeskrypcja jest rodzajem słuchowiska?

– Audiodeskrypcję rzeczywiście można porównać do słuchowiska, ponieważ ma pewne cechy wspólne, jednak – i to należy podkreślić – słuchowiskiem nie jest. Przy słuchowisku tworzymy narrację wyłącznie na podstawie dialogów i dźwięków. Natomiast w audiodeskrypcji opieramy się na tekście wyjściowym, który zawiera warstwę słowną i dźwiękową, ale przede wszystkim warstwę wizualną. Dialogi i istotne dźwięki, na przykład w filmie,

stanowią dla audiodeskryptora ramy opisu, których nie może naruszyć. Podstawowa trudność w audiodeskrypcji polega na zastąpieniu złożonego obrazu, który osoby widzące postrzegają holistycznie, zwięzłym opisem, który osoba z dysfunkcją wzroku przetwarza w sposób linearny.

Audiodeskrypcja jest stosunkowo nową „usługą”?

– Za jej początek uznaje się rok 1981, kiedy to po raz pierwszy opisany został spektakl w waszyngtońskim teatrze Arena Stage. W Polsce natomiast audiodeskrypcja zaistniała dopiero w 2006 roku. Pierwsze badania naukowe opisujące to nowe zjawisko pojawiły się mniej więcej 25 lat temu. Jest to więc młoda dziedzina wiedzy, ale też sporo udało się już osiągnąć. Początkowo badania skupiały się głównie na odbiorcy. Druga ścieżka badań dotyczyła techniki przygotowania opisu. Prowadzone były też badania eksperymentalne, w których naukowcy próbowali między innymi dowiedzieć się, na czym koncentruje wzrok osoba widząca oglądająca film. Ja również brałam w takich projektach udział.

Mój obecny projekt próbuje całą tę wiedzę uporządkować. To z jednej strony będzie próba konceptualizacji teoretycznej, której według mnie nadal brakuje, ponieważ tak jak powiedziałam, jest to stosunkowo młoda dziedzina, a z drugiej zaproponuję bardzo praktyczne narzędzie, które może być przydatne szczególnie do szkolenia audiodeskryptorów.

Nazywa to pani „funkcjonalnym modelem audiodeskrypcji” – funkcjonalny to znaczy jaki?

– Wiele kontrowersji w kontekście audiodeskrypcji wywołuje kwestia obiektywizmu w opisie. Oglądając film, nawet doświadczony audiodeskryptor przepuszcza go przez swój filtr, nieświadomie go interpretuje. Mój model ma na celu zmniejszenie subiektywizmu w opisie poprzez wnikliwą analizę tekstu wyjściowego między innymi przez pryzmat funkcji przypisanych tekstowi przez jego twórców, na przykład reżysera w przypadku filmu. W tym celu stworzyłam oryginalną klasyfikację tekstów multimodalnych, rozróżniając pięć podstawowych funkcji: narracyjną, informacyjną, perswazyjną, estetyczną i rozrywkową. I tu może wyjaśnię: funkcję narracyjną w moim modelu pełnią wszystkie filmy i seriale, informacyjną – serwisy informacyjne oraz filmy dokumentalne lub przyrodnicze, funkcję perswazyjną – na przykład reklamy, rozrywkową – programy rozrywkowe, natomiast funkcję estetyczną – na przykład kino eksperymentalne, w którym ważną rolę odgrywać będzie muzyka lub poetyckie ujęcia. Oprócz tego wyróżniam kilkanaście funkcji pobocznych, takich jak suspens czy komizm. Obrane strategie opisu będą się różnić w zależności od dominujących funkcji. Mój model stanowi ramy dla wielowymiarowej analizy tekstu wyjściowego, która pomoże określić funkcje danego filmu czy programu oraz to, za pomocą jakich kodów semiotycznych te funkcje zostały zrealizowane.

Analiza będzie polegała na przyjrzeniu się tym kodom, czyli na przykład temu, czy dana funkcja w tekście informacyjnym

jest bardziej realizowana przez narrację czy dialog, czy może jednak przez obraz. Jeżeli przez narrację czy dialog, to opis może być skromniejszy, ponieważ ta funkcja zostanie zrealizowana w dużej mierze w sposób dostępny dla naszych odbiorców.

Czyli w przypadku programu publicystycznego skupimy się jedynie na opisie osób w nim występujących?

– Ale też dopowiemy jakieś gesty, które być może wykonają uczestnicy w celu nadania odpowiedniego sensu swoim wypowiedziom. Opiszemy ten gest, ale za każdym razem będziemy zastanawiać się nad jego funkcją. To jest dość złożony problem, ale mój model – mam nadzieję – szczegółowo to opisz.

A jeśli będzie to kino artystyczne – na czym wtedy należałoby skoncentrować opis? Co z elementami w filmie, które leżą w sferze niedopowiedzenia?

– Tu też mamy szereg strategii. Jeżeli nasza analiza wykaże, że język filmu jest poetycki i pełni ważną funkcję estetyczną, wówczas skupimy się na opisie tego, co widzimy, na przykład odpowiednio będziemy manipulować strukturami językowymi. Jesteśmy w stanie przekazać, że coś jest pokazane w zbliżeniu albo że, wprost przeciwnie, znajduje się na dalszym planie. Natomiast co do niedopowiedzeń w filmie, to musimy pamiętać, że my nie opowiadamy filmu, nie przygotowujemy jego streszczenia, ale przekładamy obraz na słowo i – tak jak w tłumaczeniu międzyjęzykowym – możemy być bliżej lub dalej oryginału. Jeśli mamy pewne niedopowiedzenia i intencją twórcy jest, aby tak pozostało, to możemy pozostać bliżej oryginału i opisać, w jaki sposób twórca zrealizował to na ekranie. W takim przypadku celem audiodeskrypcji będzie, aby niewidomy widz – i nie jest to oksymoron w tym kontekście – oczami wyobraźni zobaczył to, co i my widzimy.

Zastanawiam się, jak wyglądałby opis serialu „Przyjaciele” – czy w ogóle w tym przypadku potrzebna jest audiodeskrypcja?

– Ten serial został opisany w wersji angielskiej. Ale to bardzo dobry przykład. Opisując komedię, należy zwracać uwagę na to, w jaki sposób funkcja komiczna została zrealizowana. W „Przyjaciołach” są to przede wszystkim dowcipne dialogi. Dla porównania serial taki jak „Jaś Fasola” to głównie humor sytuacyjny. W pierwszym przypadku efekt komiczny bazuje w dużej mierze na warstwie werbalnej, w drugim na wizualnej. W obu przypadkach strategie opisu będą zupełnie różne, mimo iż funkcja tekstu jest ta sama.

Wspomniała pani, że w przypadku „Przyjaciół” dostępna jest audiodeskrypcja w języku angielskim. Czy audiodeskrypcję można przetłumaczyć?

– Tłumaczenie jest jedną z metod tworzenia audiodeskrypcji. Natomiast należy podkreślić, że nie powinno być to tłumaczenie 1:1. I nie chodzi tu tylko o dopasowanie długości audiodeskrypcji tak, aby przetłumaczony tekst mieścił się między dialogami. Chodzi także o inne oczekiwania odbiorców w danym kraju na przykład co do opisu elementów kulturowych, a także o inne style

audiodeskrypcji, które zostały wypracowane w poszczególnych krajach. Audiodeskrypcja w języku polskim brzmi inaczej niż ta w języku angielskim. Jeśli przetłumaczymy audiodeskrypcję bez poszanowania tych odmiennych konwencji, stracą na tym nasi odbiorcy.

Wróćmy do projektu. Na jakim etapie jest w tej chwili jego realizacja?

– Projekt z założenia jest pracą koncepcyjną, więc duża część pracy, jaką wykonałam, polegała na opisie stanu badań i koncepcji teoretycznych z dziedziny multimodalności, przekładownawstwa i filmoznawstwa. Założenia i elementy składowe modelu zostały wstępnie opracowane, w tej chwili jestem na etapie tworzenia korpusu około 80 filmów i programów telewizyjnych reprezentujących różne typy tekstów i różne gatunki z audiodeskrypcją po angielsku, i w mniejszej części po polsku. Wszystkie je przeanalizuję pod kątem realizowanych funkcji i wybrane przykłady włączę do modelu.

Czy efektem tego projektu będzie podręcznik do audiodeskrypcji?

– Będzie to monografia w języku angielskim, z przeglądem wiedzy na temat audiodeskrypcji i opisem najważniejszych teorii i koncepcji, w której znajdzie się też komponent praktyczny a więc wspomniany wcześniej model funkcjonalny. Mam nadzieję, że skorzystają z niego również nauczyciele audiodeskrypcji czy początkujący audiodeskrypcy.

Mówi pani o audiodeskrypcjach i nauczycielach audiodeskrypcji. Gdzie można wyuczyć się tego zawodu?

– Audiodeskrypcji uczymy na Wydziale Anglistyki, ale są też inne ośrodki akademickie w Polsce, które prowadzą takie zajęcia. Często również fundacje czy pracodawcy wewnętrznie prowadzą takie szkolenia. Moim zdaniem audiodeskrypcja to zawód przyszłości, ponieważ zapotrzebowanie na tego typu usługi będzie coraz większe. Poza tym zawód ten na razie nie jest aż tak bardzo zagrożony przez rozwój sztucznej inteligencji, aczkolwiek pewne zagrożenie może stanowić wykorzystanie tłumaczenia maszynowego do tłumaczenia audiodeskrypcji. Ale to temat na inną rozmowę.

Dlaczego zapotrzebowanie na tego typu usługi będzie większe?

– W tej chwili jesteśmy w tzw. okresie przejściowym, jeśli chodzi o unijne zapisy prawne. Niedługo wybrane podmioty będą zobowiązane zapewnić dostępność swoich produktów i usług, także za pomocą audiodeskrypcji. Również w kinach, teatrach czy muzeach coraz częściej pojawia się taka usługa. Mam taką nadzieję, że będzie to zjawisko coraz powszechniejsze, tak aby osoby z niepełnosprawnością wzroku mogły coraz lepiej integrować się ze społeczeństwem i korzystać z tego wszystkiego, co dla osób bez niepełnosprawności jest na wyciągnięcie ręki.

Rozmawiała Magda Ziółek



Otwarte drzwi do turystyki

Doktor Anna Lubarska jest laureatką nagrody PFRON w konkursie „Otwarte drzwi”. Jej praca powstała na Wydziale Nauk Geograficznych i Geologicznych pod kierunkiem prodziekan prof. UAM Aliny Zajadacz i prof. UAM Adama Szymaniaka.

XIX edycja konkursu „Otwarte drzwi” i sukces. Spodziewała się pani? I jak to się stało, że wzięła pani udział w konkursie?

– Dostałam informację od promotorów. Do konkursu zgłasza się prace poruszające temat niepełnosprawności, moja dotyczyła turystyki. Co do nagrody – mogłam tylko mieć nadzieję, że ją otrzymam. Spodziewać się, na pewno się nie spodziewałam, bo prac było bardzo dużo i bardzo interesujących, a laureatów jak zwykle jest niewielu.

Jak mówi prof. Adam Szymaniak, praca „Ocena dostępności przestrzeni turystycznej dla osób z niepełnosprawnościami” nie została napisana dla stopnia naukowego. Badania były wyrazem autentycznej troski autorki i dążenia do polepszenia sytuacji OzN w obszarze turystyki. Z czego wynikają pani zainteresowania?

– Wydaje mi się, że jest to kwestia wrażliwości społecznej i to bardziej temat wybrał mnie niż ja jego. Z wykształcenia jestem skandinavistką, kończyłam poznańską filologię i w życiu nie pomyślałabym, że będę robić doktorat na Wydziale Nauk Geograficznych i Geologicznych. Bo to było tak: dowiedziałam się od prof. Zajadacz, że w ramach projektu „GEO+” realizowane miały być interdyscyplinarne studia doktoranckie. Kiedy zobaczyłam proponowany temat – koniecznie chciałam się nim zająć. Dotyczył turystyki dostępnej dla osób z niepełnosprawnościami. Takie osoby stanowią aż 15% społeczeństwa, każdy z nas ma je w swoim otoczeniu, nawet jeśli o tym nie wie.

Praca była konsultowana z najwybitniejszymi na świecie ekspertami od turystyki OzN.

– Myślę, że gdyby policzyć wszystkie osoby, które pomogły mi w tworzeniu pracy, to z pewnością na stu byśmy się nie zatrzymali. Bardzo pomógł mi prof. Simon Darcy, który jest dla mnie absolutnym autorytetem w dziedzinie turystyki dostępnej. Udzielił mi mnóstwa wskazówek w drodze do stworzenia katalogu kryteriów oceny dostępności. Drugą osobą, która w sposób fundamentalny pomogła mi przy tworzeniu pracy, był Ivor Ambrose, przewodniczący European Network for Accessible Tourism, którego poznałam osobiście w czasie studiów doktoranckich i z którym konsultowałam ostateczny katalog kryteriów.

Prowadziła pani badania terenowe. Jak one wyglądały?

– Wyzwanie logistyczne było ogromne, bo przykładowo pierwszą część badań poświęciłam ogrodom sensorycznym w całej Polsce. Byłam w prawie wszystkich wówczas istniejących, niezależnie od tego, czy były to Karkonosze, czy Suwałki. Samo badanie to kilka etapów, od inwentaryzacji przez dokumentację fotograficzną i rozmowę z osobą czy osobami odpowiedzialnymi za ogród po konsultacje z osobami niepełnosprawnymi. Podobnie było w przypadku audytu Szlaku Piastowskiego i badań w wybranych parkach narodowych.

Jak ocenia pani dostępność Szlaku Piastowskiego?

– To zależy od miejsca. Myślę, że wzorcem może być Brama Poznania. Jest znakomicie przygo-

towana na wizytę osób z niepełnosprawnością. Ale bywają też miejsca przygotowane gorzej. Dla mnie odkryciem było, że w niektórych kościołach proboszczowie zakazywali wejścia do świątyni osobie niepełnosprawnej w towarzystwie psa przewodnika. To od nas dowiadywali się, że już wiele lat temu ich władza zwierzchnia wydała taką zgodę.

Opracowała pani kompleksowy katalog kryteriów oceny dostępności przestrzeni turystycznej. Co zawiera?

– Katalog kryteriów ma kilkanaście stron, to 232 kryteria podzielone na cztery kategorie.

Kryteria są sformułowane jako pytania, dzięki którym można ocenić dostępność danego obiektu. Dotyczą różnych kwestii, przykładowo czy w obiekcie jest winda i następnie, czy spełnia ona kolejne kryteria. Może się zdarzyć, że dane kryterium nie dotyczy danego obiektu, na przykład parterowego, wówczas także to odnotowujemy. Takich pytań jest mnóstwo. Odpowiedź na nie pozwala zarządom obiektów nie tylko na wypracowanie odpowiedniej strategii marketingowej, ale też na zwrócenie uwagi na niedobory i wszczęcie starań, by im zaradzić. Mocno pomagało mi spojrzenie na przestrzeń z uwzględnieniem kryteriów, które znałam, dodawanie kolejnych i testowanie ich z osobami z niepełnosprawnościami. Wiele czasu poświęciłam też na badania dostępnej literatury, bo przecież wiele rzeczy zostało już stworzonych. Katalog miał pomóc w ich usystematyzowaniu i stworzeniu kompendium potrzebnego dla osób projektujących czy badających daną przestrzeń.

Wzmacniamy poczucie wspólnoty

Od 1 października ubiegłego roku na Wydziale Prawa i Administracji istnieje Klinika Prawa, której centralnym elementem jest świadczenie nieodpłatnych porad prawnych osobom potrzebującym, a także wspieranie organizacji pozarządowych i innych podmiotów w sferze edukacji publicznej.

O klinice rozmawiamy z jej kierowniczką, **prof. UAM Barbarą Janusz-Pohl**.



Zanim powstała klinika, przez wiele lat istniała Studencka Uniwersytecka Poradnia Prawna. To tylko zmiana nazwy czy coś więcej?

– Przez ostatnie sześć lat współpracowałam z SUPP jako opiekun sekcji karnej. Ewolucja, jaką przeszła poradnia, była dość długa, już dawno jednak nadszedł moment, by jej strukturę zorganizować w bardziej formalny sposób. Były problemy z ciągłością, bo przecież studenci są z nami związani jedynie krótko, a z kolei pracownicy wydziału też byli coraz mniej responsywni, bo praca na rzecz poradni wymagała czasu, którego nie mamy za wiele.

W ubiegłym roku sytuacja uległa zmianie?

– Zostałam poproszona przez dziekana WPiA o stworzenie nowych zrębów organizacji, tym razem w ramach Kliniki Prawa, jednostki organizacyjnej WPiA w formie laboratorium. Nie ukrywam, że przy moim tempie pracy było to trudne, ale podjęłam się tego zadania. Przy restrukturyzacji korzystałam ze swoich doświadczeń w ramach poradni, kluczową rolę odegrali też bardzo aktywni wolontariusze. Chciałam stworzyć Klinikę Prawa, która mogłaby odpowiedzieć na wszystkie potrzeby studentów, ale i pokazać nas w szerszym świetle i na zewnątrz UAM. Ruchy kliniczne w Europie są świetnie zorganizowane i udzielają porad prawnych, budując wizerunek uniwersytetów. Ten model staram się zaszczepić i u nas. W skład kliniki weszły sekcje merytoryczne dawnej poradni: sekcja prawa cywilnego, karnego, publicznego i sekcja ukraińska. Każda z nich miała swoich interesariuszy, przy czym sekcja prawa karne-

go miała ich najwięcej – głównie z zakładów karnych. Nowością w nowej organizacji jest to, że opiekunowie sekcji są powoływani na rok akademicki, a swoją pracę rozliczają jako zadanie dydaktyczne w ramach pensum.

Jak wygląda praca w sekcjach?

– Podchodzimy do sprawy w sposób nowoczesny. Sekcje merytoryczne nie tylko udzielają poradnictwa prawnego, ale stworzyliśmy też warunki do działań reklamowych. Będziemy się zwracać do nowych grup potencjalnych odbiorców naszych usług. Jedną z nich jest oświata. Powód? Choćby to, że w 2022 roku zmieniono ustawę o odpowiedzialności nieletnich, a dyrektorzy szkół zyskali sporo nowych uprawnień. Nawiązaliśmy kontakty z kuratorium i mediatorem. Jesteśmy otwarci na udzielanie porad prawnych w tym segmencie, pozwoli nam to integrować uniwersytet z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Podobnie wspieramy sprawy dotyczące postępowań dyscyplinarnych w uczelniach wyższych, które nie mają wyspecjalizowanej opieki prawnej. Nową grupą odbiorców naszych usług są także organizacje pozarządowe, w których nasi studenci mogą odbywać praktyki, a w zamian organizacje mogą liczyć na pomoc ekspertów z WPiA.

Powstała też sekcja międzynarodowa?

– Związane to jest z rosnącą liczbą studentów anglojęzycznych, którzy studiuje na UAM. W jej ramach świadczymy na przykład pomoc prawną obywatelom Ukrainy. Okazuje się, że poziom zabezpieczenia informacji prawnej dla obywateli innych państw, którzy mają

postępowania przed polskimi sądami, jest daleko niewystarczający. Podobnie w sytuacji, gdy sprawy toczą się poza granicami RP. Wówczas konsultujemy je z tamtejszymi uczelnianymi klinikami prawa. Współpracują z nami studenci zagraniczni, dla których przygotowujemy też szkolenia w języku angielskim. Przykładowo od marca rusza u nas cykl spotkań w formie hybrydowej „Digital traces”, który prowadzić będą specjaliści z Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości i Prokuratury Regionalnej. Jego słuchaczami będą także studenci innych europejskich klinik prawa. Działamy obywatelsko, propagując idee świadczenia pomocy pro bono. Planujemy także przygotowanie akcji „O prawie przy kawie”, która świetnie wpisze się w ideę uniwersytetu zaangażowanego. Dodatkowo szkolimy studentów i przygotowujemy ich do moot courtów, czyli bardzo prestiżowych konkursów prawniczych. Organizujemy konferencje. Budujemy markę uczelni.

Co z Kliniki Prawa mają pracownicy UAM?

– Nasza pomoc dotyczy zarówno wydarzeń, które organizują, jak i pomocy prawnej związanej z opiniowaniem (na przykład na potrzeby pracowników pozostałych wydziałów UAM). Chcemy pomagać też pracownikom w kwestiach związanych z ich funkcjonowaniem w ramach uczelni. Zwiększeniu zaangażowania pracowników w ruch kliniczny ma służyć blog na naszej stronie internetowej, a także różne seminaria i konferencje, które organizuje klinika. Tak jak mówiłam, chcemy wzmacniać poczucie wspólnoty na UAM.

Rozmawiał Krzysztof Smura



Archiwum zapisane w torfie

Za narodzinami i zanikiem torfowiska Żurawiniec w Poznaniu stoi człowiek – odkrył to **prof. UAM Mirosław Makohonienko** z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych. Naukowiec przyczynił się do uratowania tego cennego archiwum historii miasta.

Gdy prof. Mirosław Makohonienko rozpoczynał badania rezerwatu przyrody Żurawiniec, stawiał tezę, że człowiek pojawił się i zniszczył miejscową dziewiczą przyrodę. Ku zaskoczeniu naukowca badania wykazały, że prawdopodobnie bez człowieka to miejsce nigdy by nie powstało. Ludzie poprzez swoją działalność nieświadomie przyczynili się zarówno do powstania torfowiska przejściowego, które istniało tu od średniowiecza do XX wieku, jak również do jego zaniku.

– Człowiek nie jest czarnym zwierzem, który czyni tylko zło. Wydaje się nam, że zawsze osuszamy i niszczymy zabagnienia. W tym przypadku jednak torfowisko pojawiło się jako produkt uboczny ludzkiej działalności. Tak to interpretuję – mówi badacz.

Profesor, z wykształcenia zarówno archeolog, jak i geograf, dodaje, że Żurawiniec jest swoistym archiwum przyrody zgromadzonym w osadach torfowiskowych, które przechowuje wiedzę o historii Poznania. Z osadów wyczytał, że po ustąpieniu lądolodu w powstałej rynnie pojawiło się jezioro, a tereny wokół niego zaczęły porastać las. Z czasem jezioro wyschło. Po kilku tysiącach lat, kiedy Piastowie zaczęli tworzyć państwowość i karczowali duże obszary ziemi pod osady i pola, na miejscu dawnego zbiornika zaczęło się tworzyć torfowisko z żurawiną.

– Pierwszy raz o Żurawiniec usłyszałem od prof. Kazimierza Tobolskiego w latach 80., już wtedy to miejsce nie wyglądało dobrze. Po kilku latach pracy w Japonii, Korei i Chinach wróciłem do kraju i przekonałem się, że rezerwat jest w dramatycznym stanie – torfowiska z jego charakterystyczną florą już nie było. Postanowiłem się tym zająć – wspomina geograf.

Profesor razem ze swoimi seminarzystami rozpoczął badania paleoprzyrodnicze, które przyniosły zaskakujące wyniki. – Szybko się zorientowałem, że geneza torfowiska może być związana z działalnością człowieka – kontynuuje naukowiec. – Wielkie wylesienia czasów wczesnego średniowiecza zachwiały dotychczasową równowagę hydrologiczną. Woda gruntowa, która w okresie wegetacyjnym przestała być wypompowywana przez drzewa, zaczęła gromadzić się w zagłębieniach terenu. Wówczas to mchy, torfowce i żurawina, od której pochodzi nazwa torfowiska, pojawiły się tu i zadomowiły na wieki – widzimy je również w osadach w postaci listków.

W tym czasie Zakład Lasów Poznańskich w porozumieniu z mieszkańcami Naramowic wyszedł z inicjatywą nawodnienia rezerwatu. Badania prof. Makohonienki oraz studia hydrogeologiczne **prof. Józefa Górskiego** i **prof. UAM Piotra Hermanowskiego** z WNGiG posłużyły jako materiał wyjścio-

wy do przygotowania instalacji nawadniających. Z początku zespół doradczy przy prezydencie miasta zamierzał odtworzyć torfowisko przejściowe, okazało się to jednak bardzo trudnym i kosztownym zadaniem. Należało spełnić liczne warunki, takie jak odpowiednio kontrolowane nawodnienie i oświetlenie. To ostatnie wymagałoby wycięcia drzew, które nasadzono po wojnie. Las zaciemnił torfowisko i niewątpliwie wpłynął na jego warunki wodne. Jednocześnie postępująca zabudowa Naramowic wpływała na obniżenie poziomu wód gruntowych. Można sądzić, iż powiązanie tych czynników doprowadziło do wyginięcia roślin bagiennych. W XXI wieku powrót do przyrodniczej przeszłości torfowiska stał się niezwykle trudny.

Mieszkańcom jednak bardzo zależało na ochronie Żurawińca, nie chcieli dopuścić, by deweloperzy zabudowali ten obszar, do czego nieuchronnie by doszło, ponieważ rezerwat tracił rację bytu. Po odkryciach prof. Makohonienki dotyczących osadów okazało się, że możliwe jest przekształcenie Żurawińca z rezerwatu florystycznego w geologiczny.

– Od dawna mam świadomość, jak ważne są ekosystemy torfowiskowe i jeziorne również jako archiwa, w których zapisane jest to, co działo się przez wieki w otaczającym je krajobrazie – przekonuje naukowiec. – Traktowałem Żurawiniec jak laboratorium badań i popularyzacji wiedzy.

Przy udziale **prof. Bogdana Jackowiaka** z Wydziału Biologii UAM i Rady Ochrony Przyrody w Poznaniu doprowadzono do zmiany ochrony prawnej miejsca. Teren nawodniono, by ochronić osady. Odbudowano również dwa stawy niegdyś tu istniejące, dzięki czemu powstały nowe siedliska dla roślin i zwierząt. Swoje dom znalazły w nich między innymi kaczkę i żaby, w tym żaba moczarowa, której samce wiosną przez tydzień wybarwiają się na niebiesko. To zjawisko co roku przyciąga do Żurawińca wycieczki. Rezerwat wpisuje się też w politykę Unii Europejskiej dotyczącą zabezpieczenia środowiska przed zmianami klimatycznymi w postaci małej retencji – takich miejsc w Polsce jest ciągle za mało.

W ubiegłym roku Centrum Inicjatyw Lokalnych na Piątkowie zorganizowało dla mieszkańców spacer po Żurawińcu, w których uczestniczyli prof. Makohonienko oraz **prof. Ryszard Gołdyn** z Wydziału Biologii. Opowiadali o historii rezerwatu i prowadzonych tu badaniach. W planach są kolejne wyjścia. Oprócz Żurawińca wycieczki będą kierowały się także na Górę Moraską i do grodziska w Glininie nad Jeziorem Glinowieckim przy północnych obrzeżach Poznania. Zimą natomiast zaplanowano popularyzacyjne spotkania na WNGiG. Już w lutym ukaże się książka popularnonaukowa na temat rezerwatu, skierowana do poznaniaków. Napisali ją między innymi pracownicy UAM i Uniwersytetu Przyrodniczego bezpośrednio zaangażowani w badania. Profesor planuje także publikację poświęconą ludziom Żurawińca, do których dotarł, gdy badał historię torfowiska.

W przyszłości powstanie strona internetowa ze wszystkimi materiałami dotyczącymi Żurawińca. Będzie ona promowała

pomysł założenia w środkowej Wielkopolsce geoparku epoki glacialnej. – Idea geoparku polega na łączeniu dziedzictwa geologicznego z przyrodą ożywioną i działalnością człowieka. Nie jest to forma ochrony przyrody, tylko rodzaj edukacji pokazującej dziedzictwo geologiczne. Park miałby opowiadać o rzeźbie powierzchni utworzonej przez lądolód, być swego rodzaju oknem pokazującym przyrodę regionu, zwłaszcza jej nieożywione walory, których na co dzień nie dostrzegamy – zapowiada Mirosław Makohonienko. – Chcemy przybliżyć mieszkańcom dziedzictwo regionu poprzez geostanowiska takie jak: Góra Moraska, Dziewicza Góra, poznański przełom Warty, Jezioro Kierskie, Żurawiniec, Glinno i wiele innych. Bywa, iż wieloletni mieszkańcy nie zdają sobie sprawy, że świat wokół nich jest czymś wyjątkowym, na swój sposób egzotycznym, dla którego warto tu przyjechać.

Społeczna działalność profesora nie ogranicza się tylko do Żurawińca. Naukowiec co roku w październiku organizuje na WNGiG akcję „Zabierz kwiatek do domu”. Wszystko zaczęło się od miłości do roślin. Badacz ma rękę do kwiatów, a że nie lubi wyrzucać niepotrzebnych roślin, zaczął je rozdawać

– Od dawna mam świadomość, jak ważne są ekosystemy torfowiskowe i jeziorne również jako archiwa, w których zapisane jest to, co działo się przez wieki

studentom, żeby z rozpoczynającym się rokiem akademickim mieli coś żywego w nowym miejscu zamieszkania.

Akcja rozwinęła się i obecnie profesor przygotowuje z własnej domowej uprawy około tysiąca sadzonek do wydania rocznie! Kwiatki są rozdawane bezpłatnie, jednak organizator prosi w miarę możliwości o datki w postaci używanych doniczek, których brakuje. W dystrybucji kwiatów na wydziale pomagają od początku **Mirosława Malinowska-Limanówka** i **Przemysław Szymura**, którzy chętnie opowiadają o roślinach i osobiście przekazują doniczki chętnym.

– Dziennie wydajemy około 200 sadzonek – mówi profesor. – Po dwóch, trzech godzinach już nic nie ma i przygotowana jest kolejna porcja na następny dzień. Widzimy później studentów z roślinami w tramwaju, autobusie albo na zajęciach. Pracownicy również je zabierają. To bardzo miłe. W przyszłym roku akademickim po raz pierwszy planuje dołączyć do akcji nasza wydziałowa biblioteka, która również przygotowuje sadzonki od siebie.

Warto dodać, że oprawa kwiatowa wnętrza wydziału, a ostatnio akademika „Meteor” to również zasługa profesora Makohonienki, który znacząco zasilił roślinami nowy obiekt na Kampusie Morasko.

Ewa Konarzewska-Michalak



Tańczyć z sensem

Profesor UAM Anna Malitowska z Wydziału Filozoficznego przez lata poznała subkulturę taneczną od podszewki. Prowadzi mentoring par tanecznych, wykorzystując do tego filozofię, pisze też o tańcu towarzyskim jako sztuce. Z filozofką i etyczką rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Kiedy zaczęła się pani przygoda z tańcem?

– Początki były rodzinne. Mój brat jako tęgi i jękający się parolatek pokazywał sąsiadom, jak tańczy Michael Jackson, a ja siedziałam z boku w książkach. Do dzisiaj się śmiejemy, że pomagałam bratu w lekcjach po to, żeby mógł tańczyć.

A trenował taniec towarzyski. I to z sukcesami. Dziś jest najbardziej utytułowanym tancerzem latynoamerykańskim na świecie, wielokrotnym mistrzem Polski, Anglii, Europy i świata. Przez wiele lat jeździłam razem z nim na zawody i poznawałam tę subkulturę taneczną od podszewki. Miałam poczucie, że coś tu nie gra: jest rywalizacja, ale nie do końca sportowa, bo sędziów traktuje się jak bogów, którzy wydają wyroki wedle swojego widzi-mię, całkowicie uznaniowe i, jak to się zwykło mówić, subiektywne. Jako filozofka i etyczka z wykształcenia i zawodu zaangażowałam się w działalność Departamentu Edukacji World Dance Council, jednej z dwóch największych federacji tańca na świecie. Publikowałam i szkoliłam z etyki zawodowej, przekonując wszem wobec, że ocenianie tańca jest obiektywne w tym sensie, że opiera się na określonych kryteriach. Subiektywne zaś mogą być ewentualnie hierarchie wartości – oto jeden sędzia absolutyzuje technikę, gdy inny szczególnie docenia innowacje choreograficzne.

W jaki inny sposób łączy pani filozofię z tańcem?

– Uważam, że zarówno filozofowanie, jak i tańczenie mają charakter ogólnokształcący, zgadzam się z poglądem, że stanowią strategię kultury, analogiczną do pisania, czytania i liczenia. Co do pierwszego, przekonałam się o tym podczas filozofowania z dziećmi, jak i w ogóle badania filozoficznych metod kształcenia kompetencji w zakresie krytycznego i twórczego myślenia. Praca z dziećmi wymagała szerszego spojrzenia na to, czym się jako filozofowie zajmujemy i co nas wyróżnia. Zadajemy pytania o sens naszego bycia w świecie, przyjmując postawę otwartości na wielość odpowiedzi, od których wszakże domagamy się, by były jak najlepiej uzasadnione. Jako filozofka mam więcej wątpliwości niż pewnych przekonań. Uważam się za ironistkę w rozumieniu Richarda Rorty'ego, która dostrzega drugie dno, zmienia zdanie, eksperymentuje. Filozoficzne sumienie – intelektualne i moralne – jest dyskursywne.

Sumiennosc wyraża się w tym, by poruszenia w świecie, które są naszym udziałem, nieustannie podawać w wątpliwość i weryfikować na podstawie nowych punktów widzenia. Taniec jest wdzięczną sytuacją edukacyjną, w której mowa jest o geście znaczącym lub ruchu, który ma sens. Od pozaakademickiego filozofowania z dziećmi przeszedłam na kolejny poziom mentoringu filozoficznego, bo tak nazywam moje zajęcia z tancerzami i parami taneczno-sportowymi.

Razem z bratem jest pani współwłaścicielką szkoły tańca Dansinn by Malitowski. Jak do tego doszło?

– Tu znowu na początku był Michał i moje wrażenia z obcowania z nim i kulturą tańca towarzyskiego. Proszę sobie wyobrazić angielskie Blackpool, do którego raz do roku w porze festiwalowej zjeżdżają tancerze i tancerki z całego świata. Poświęcają wiele, by zatańczyć w sali balowej Empress Ballroom i w większości odpaść w pierwszych rundach zawodów. Ich codzienność to krew, pot i łzy. Kilkanaście lat morderczych treningów, kilka lat startów w turniejach i co potem? Tu przyszedł z odpowiedzialnością programy telewizyjne organizowane pod hasłem tańca z gwiazdami, w których wyuczony w tanecznym fachu tancerze uczyli tańca przeróżnej maści amatorów, występując z nimi w parze, jak prawdziwi partnerzy i partnerki. Ten system Pro-Am, nazwany od połączenia profesjonalisty („pro”) z amatorem („am”), zyskiwał coraz większe powodzenie najpierw w Azji, a potem w Stanach Zjednoczonych. Za sukcesem w Azji stał Michał jako jeden z właścicieli szkoły tańca w Hongkongu, w której pod okiem instruktorów Pro tańczyło coraz więcej ludzi, nieograniczanych ani wiekiem, ani doświadczeniem tanecznym. Po prostu spełniających marzenia. Razem z Michałem poszliśmy za ciosem i otworzyliśmy podobną szkołę – Dansinn by Malitowski – w Warszawie. Wkrótce też zaczęliśmy organizować turnieje i mistrzostwa w kategorii Pro-Am dla par z całego świata. W salach balowych i na prawdziwym parkiecie, przy pięknej muzyce i z udziałem wybitnych sędziów oraz gwiazd tańca. Te imprezy są moją dumą. W każdej osobie, która w ten sposób realizuje marzenia i dzieli się swoją pasją, widzę najprawdźniejszego tancerza i najprawdźniejszą tancerkę.

Na czym w praktyce polega mentoring par tanecznych?

– Lubię zaczynać zajęcia od anegdoty – sceny z filmu „Żelazna dama”. Meryl Streep jako Margaret Thatcher na pytanie lekarza, jak się czuje, odpowiada, że ten powinien zapytać lepiej, jak ona myśli – bo myśli stają się słowami, słowa działaniami, działania nawykami, nawyki charakterem, a ten staje się przeznaczeniem. O czym myślimy, tym się stajemy. Mentoring jest takim wspólnym myśleniem, które ma na celu zrozumienie tańca jako sztuki i odkrycie w sobie artysty. Tancerze, którzy szukali u mnie pomocy w kryzysie, powtarzali za swoimi trenerami i sędziami, że brakuje im osobowości. Ode mnie dowiadywali się, że problemem najpewniej jest tożsamość, a więc to, z czym się identyfikujemy jako wizją własnej osoby, nasze samorozumienie i samopoczucie – dosłownie i w przenośni „ja” we własnej skórze.

Poszukiwanie artystycznego „ja” jest po części odkrywaniem swojej osobowości, a po części konstrukcją własnej tożsamości i kreowaniem swojego scenicznego wizerunku. W tym procesie pomocne są metafory, potraktowane jako role, które przykładamy do siebie „na próbę”. Czy starając się tańczyć z sensem zrozumiałym i ważkim dla współczesnych odbiorców, nie warto mi sięgnąć po „uśpione” metafory z mitów czy legend? Na przykład – jeśli tańczę jako kobieta dla odbiorców „wciągniętych” w dynamikę ruchu Metoo, może warto mi rozważyć rolę Klitajmestry, mitycznej zabójczyni, która kryje się też za Freudowskim syndromem żony i kobiety tłumiącej nienawiść do męża i sprawcy swoich nieszczęść?

To, co pani mówi, pokazuje, jak wyobraźnia i zaplecze kulturowe są ważne w tańcu.

– Tak właśnie jest. Ciało taneczne, jak mawiał metaforycznie Nietzsche, tańczy w łańcuchach, czyli ze świadomością ogra-

– Uważam, że zarówno filozofowanie, jak i tańczenie mają charakter ogólnokształcący, zgadzam się z poglądem, że stanowią strategię kultury

niczeń takich jak konwencje, stereotypy, nawyki. Ale ruch taneczny jest też zawsze tworzeniem czegoś nowego, polega na reinterpretacji starych i nadawaniu nowych znaczeń. Wolter mówił, że taniec jest sztuką, ponieważ ma zasady. W tych słowach pobrzmiewa „artystyczne” napięcie między poczuciem wolności artysty, jego pragnieniem odrzucenia łańcuchów, a poszanowaniem dla reguł i kryteriów, na mocy których dzieło sztuki może podlegać w ogóle wartościowaniu. Może być odnoszone do „prawdy” samego tańca, w której pojedynczy akt tańca jest znaczącą, lecz tylko częścią prawdy.

Jest pani autorką kilku książek filozoficznych. Które z nich ceni pani najbardziej?

– Ponoć filozof myśli tak naprawdę jedną myśl. Jeśli w ten sposób spoglądam na swoje publikacje, to dostrzegam pewną konsekwencję w drążeniu sprawy owego ironicznego i sumiennego filozofowania. Przywiodło mnie ono do tematu tańca towarzyskiego jako sztuki, a nie tylko rywalizacji sportowej i rozrywki. O tym jest moja ostatnia książka *Filozofka i paso doble*. A że pisałam ją w trudnym dla mnie czasie choroby nowotworowej, ma ona dla mnie znaczenie szczególne, bo autoterapeutyczne. Została ciepło przyjęta przez tancerzy w Polsce, jej fragmenty znają już uczniowie Michała w Chinach. Myślę teraz o zaktualizowanej wersji w języku angielskim, na co czekają moi europejscy podopieczni.



Fredry 10 – nowa stacja Polskiej Akademii Umiejętności

W Poznaniu powstała Stacja Naukowa Polskiej Akademii Umiejętności. To trzecia – po Gdańsku i Katowicach – placówka PAU, która będzie prowadzić działalność poza Krakowem. Przewodniczącym nowo powstałej stacji został historyk **prof. Waldemar Łazuga**, a jego zastępcą **prof. Krystyna Bartol** z Instytutu Filologii Klasycznej. Poznańska stacja dzięki uprzejmości władz WFPiK mieści się w gmachu Collegium Maius, w pokoju 333.

Działalność Polskiej Akademii Umiejętności nie jest zbyt eksponowana. Mam wrażenie, że PAU funkcjonuje w cieniu prężnie działającej Polskiej Akademii Nauk. Czy zgodzi się pan z tym twierdzeniem?

Prof. Waldemar Łazuga: Trudno porównywać rzeczy nieporównywalne. To dziś dwie zupełnie różne instytucje, choć historycznie wiele je łączy (mamy na przykład biblioteki należące do PAU i PAN; mamy też uczonych należących do obu tych organizacji, wspólny i osobny majątek). Najpierw więc trochę historii, do niedawna niezłe znanej, wzbudzającej nawet pewne emocje, dziś już prawie zapomnianej. Najpierw metryka, a raczej dwie.

Polska Akademia Umiejętności istnieje od 1872 roku, a korzeniami sięga nawet roku 1815 (kiedy to powstało Towarzystwo Naukowe Krakowskie). Utworzono ją, gdy Polski na mapie nie było, w jedynym wtedy miejscu, gdzie nauka polska mogła się swobodnie rozwijać. Od początku była reprezentacją uczonych ze wszystkich ziem polskich, a jednym z jej prezesów był Wiel-

kopolanin z Jurkowa, prof. Kazimierz Morawski, którego wspaniały portret nadal zdołał ozdobić jej sale. Od początku też Akademia Umiejętności (bo tak się przez pół wieku nazywała) była blisko związana z Uniwersytetem Jagiellońskim, gromadziła skarby kultury polskiej, wydawała książki i organizowała życie naukowe na ziemiach polskich i poza ich granicami. Od XIX wieku należała do niej Biblioteka Polska w Paryżu, założona jeszcze przez Wielką Emigrację po powstaniu listopadowym. Wielu członków akademii zasiadło w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Niejeden wygłaszał wykłady w poznańskim Bazarze. Po I wojnie światowej, pod obecną nazwą, w odrodzonej Polsce PAU jeszcze rozwinęła swą działalność, a jej pomnikowym osiągnięciem stał się wydawany od 1935 roku, liczący już ponad 50 tomów, Polski Słownik Biograficzny, stanowiący monumentalną historię Polski odbitą w indywidualnych losach Polaków.

Ostatecznie PAU przetrwała II wojnę światową i działała, choć z coraz większym trudem, do 1952 roku. W nowej rzeczywisto-

ści politycznej kłują w oczy jej niezależność, a także przywiązanie do tradycji i dawnych akademickich standardów. W 1952 roku w atmosferze pewnego napięcia ówczesne władze powołały do życia Polską Akademię Nauk dla prowadzenia badań naukowych „odpowiadających istotnym potrzebom Narodu”. Majątek PAU został w znacznym stopniu przejęty przez PAN, a siedzibą nowo powołanej struktury stała się Warszawa. Na wiele lat PAU zniknęła z krajobrazu nauki polskiej. Przywrócono ją dopiero po upadku komunizmu w 1989 roku, a na jej pierwszego prezesa wybrano prof. Gerarda Labudę z Poznania, którego jeszcze jako student UAM byłem słuchaczem (jego portret także zdobi siedzibę PAU w Krakowie). Mamy więc PAN i PAU. O ile jednak PAN to dziś instytucjonalna potęga: 68 instytutów badawczych w ośmiu miastach, liczne komitety, 6 stacji zagranicznych i 10 tysięcy pracowników, o tyle PAU ze skromniejszymi środkami i prężnie działającymi komisjami pozostaje w istocie towarzystwem naukowym, zachowującym wiele z dawnej tradycji, utrzymującym też dawny, surowy system wyboru nowych członków.

Z powodów merytorycznych, historycznych, a nawet psychologicznych przynależność do PAU jest dla wielu uczonych, humanistów może zwłaszcza, przyczyną nieskrywanej satysfakcji i dumy. Dumny z tego członkostwa był mój mistrz, prof. Janusz Pajewski, który PAU wymieniał na pierwszym miejscu, dumny bohater mojej pierwszej książki, historyk i prawnik, Michał Bobrzyński i dumny pewien mój przyjaciel, tłumaczący kiedyś dowcipnie, że w tej historii chodzi o to, żeby tam w pięknej sali obok siebie usiąść.

Trzeba to jednak powiedzieć wyraźnie: PAN i PAU to jedno i to samo środowisko akademickie zakorzenione w pięknej tradycji uniwersyteckiej. To dowód na jego bogactwo, a nie jego problem. Spodziewam się zresztą, że niebawem dojdzie do spotkania wszystkich poznańskich członków obu tych organizacji. W końcu wszyscy wywodzimy się z uniwersytetów i wszyscy jednej i tej samej sprawie służymy. Zrzeszeni pomnażamy zaś naszą siłę. I możemy sprawić, że tu i tam będzie nas jeszcze więcej.

Mówi pan o historii, a co spowodowało, że zarząd akademii wyraził zgodę na powstanie kolejnej zamiejscowej placówki, i to w odległym Poznaniu?



Otwarcie Akademii Nauk w Krakowie. Rysował z natury Juliusz Kossak

W.Ł.: O takich pomysłach mówiło się nad Wartą od dawna. Stoi za tym naturalna ciekawość wielu z nas, co się dzieje w innych dyscyplinach nauki i czym one aktualnie żyją. Poza tym nie jest tak, że na uniwersytetach wszyscy się znają. Że biolodzy wiedzą, czym żyją geografowie, a matematycy są za pan brat z medykami. W PAU są na ogół ludzie, o których sporo się słyszało, ale których niekoniecznie osobiście się zna. Jest więc okazja, żeby się bliżej poznać i wzajemnie poinformować. Pomijam już to, że Poznań to potężny ośrodek naukowy, który powinien mieć silną reprezentację we wszystkich prestiżowych ciałach akademickich. Świadomość tego jest powszechna i to jeden z powodów, dla których stację udało się powołać w ekspresowym tempie.

Wiem, że przystąpiliście państwo do „budowy” nowej stacji po poznańsku. Pani profesor, czy mogłaby pani o tym opowiedzieć? Wiem, że za wami pierwsze wykłady, które odbyły się w ramach PAU.

Prof. Krystyna Bartol: Jak wspomniał przed chwilą pan profesor, pomysł wykuwał się w naszych głowach od dawna. Impulsem do ukonkretnienia działań stały się rozmowy pięciorga członków PAU związanych przede wszystkim z UAM: profesorów Waldemara Łazugi, historyka, Aleksandra Posern-Zielińskiego, etnologa, Jerzego Danielewicza, filologa klasycznego, Michała Witta, genetyka z Instytutu Genetyki Człowieka PAN, oraz mnie, reprezentującej tę samą dyscyplinę co prof. Danielewicz. Wynikiem tych rozmów było złożenie w grudniu 2022 roku oficjalnego wniosku o powołanie stacji. Spotkał się on z przychylną opinią władz PAU. Nie będziemy chyba niedyskretni, jeśli wspomnimy, że tempo naszych działań wzbudziło pozy-

tywne zaskoczenie w Krakowie. Poznańskie zamiłowanie do konkretności i uporządkowanego działania udzieliło się także władzom na Sławkowskiej i zaowocowało szybkimi krokami zmierzającymi do powołania stacji. Nastąpiło ono 11 marca 2023 roku na Walnym Zgromadzeniu PAU. Jednakże kilka dni wcześniej, 7 marca w południe, w kawiarni Collegium Minus UAM odbyło się spotkanie bez mała historyczne, w którym uczestniczyło dwanaście osób, a więc połowa wszystkich członków PAU afiliowanych przy poznańskich instytucjach naukowych. Właściwie należy je uznać za pierwsze, choć jeszcze nieformalne, zebranie stacji. Potwierdzeniem wagi jej powstania – dla samej akademii, jak i naukowego środowiska poznańskiego – była także wizyta w Poznaniu prezesa PAU prof. Jana Ostrowskiego, wiceprezesa prof. Adama Mączyńskiego i sekretarza Wydziału II PAU prof. Jacka Purchli. Byli goszczeni przez władze Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a udział w zorganizowanej z tej okazji konferencji wzięli także marszałek województwa wielkopolskiego i przedstawiciele wielkopolskich towarzystw naukowych.

Działać, jak pani powiedziała, po poznańsku oznacza także nie poprzestawać na laurach. Po powołaniu stacji zabraliśmy się od razu do pracy. Odbyło się pierwsze naukowe spotkanie, na którym prof. Witt zaprezentował arcyciekawe przemyślenia na temat związków muzyki i genetyki. Towarzysząca wykładowi ożywiona dyskusja pokazała, jak potrzebne jest przybliżanie specjalistycznych kwestii, którymi się zajmują naukowcy, badaczom innych dyscyplin. Będziemy kontynuować takie spotkania. Planujemy zapraszać na wykłady zainteresowanych słuchaczy, także spoza grona członków PAU.

Rozmawiała Magda Ziótek



Muzyka barokowa interesująca jak dawniej

Rozmowa z **prof. UAM Aliną Mądry**, p.o. kierowniczką Katedry Teatru i Sztuki Mediów UAM

Pani profesor, co to jest Konwencja Muzyki Polskiej?

– O definicję jest bardzo trudno, ale ogólnie rzecz biorąc Konwencja Muzyki Polskiej, niezależnie od formuły, to dyskusje, panele, spotkania, które mają na celu pobudzenie środowiska muzycznego: muzykologów i muzyków, kompozytorów, krytyków oraz animatorów życia muzycznego, do określenia najważniejszych problemów, „wypracowania” ich podczas dyskusji i zebrania w dokumencie podsumowującym. Staje się on istotnym elementem podczas rozmów z decydentami. Od początku konwencje były organizowane przez Instytut Muzyki i Tańca, obecnie Narodowy Instytut Muzyki i Tańca, i zaplanowane jako wydarzenia cykliczne. W ubiegłym roku odbyła się już piąta konwencja i po raz pierwszy została zaproponowana nowa formuła. Odpowiadałam za panel dotyczący polskiej muzyki dawnej. Do panelu dyskusyjnego podczas konwencji zostali zaproszeni wybrani przedstawiciele z poszczególnych grup tematycznych. Najwięcej emocji podczas panelu „Polska muzyka dawna” wzbudził temat związany ze źródłem, edycją i wykonaniem. Muzycy podczas gry korzystają z zapisanych nut – to oczywiste. Pytanie jednak najważniejsze w przypadku dawnej muzyki polskiej: ale z jakich nut? Czy docierają do archiwum i sami sporządzają własne partytury? W takiej sytuacji czy można te wersje określić jako edycje źródłowo-krytyczne? Czy tylko jest to praktyczne spojrzenie muzyków na rękopis i sporządzenie

wersji wykonawczej odkrytego utworu? Czy też opierają się na tym, co wypracują muzykolodzy zajmujący się edytorstwem muzycznym? Gdzieś pomiędzy tymi rzeczywistościami jest wykonanie. Dyskusja na ten temat była podczas panelu najdłuższa. Chodziło przede wszystkim o to, aby dostrzec wysiłek muzykologa edytora, który w dotarciu do źródła i jego opracowanie wkłada bardzo dużo pracy, często niedostrzeganej.

Zajmuje się pani muzyką polską XVIII wieku – dlaczego akurat nią?

– Bo jest mało znana, bo tak niewiele o niej wiemy, bo mnie w którymś momencie mojego naukowego życia po prostu zafascynowała. Jeżeli zapytamy studentów akademii muzycznych, muzykologii czy uczniów szkół muzycznych o nazwisko kompozytora polskiego z XVIII wieku, to odpowie najczęściej cisza. A przecież kierujemy pytanie do najbardziej odpowiednich osób. W tej chwili udało się zidentyfikować około 80 polskich XVIII-wiecznych kompozytorów. Już dużo się zmieniło na dobre w porównaniu na przykład do lat 90. minionego wieku, sporo tej muzyki wydajemy i nagrywamy. Dotyczy to głównie zasobów dawnej muzyki polskiej religijnej. Niewiele natomiast mamy zachowanych utworów z kręgu muzyki świeckiej. Pozyskaliśmy pewne informacje o jej istnieniu na wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej, ale po wybuchu wojny

**– Wierzę, że nasz zespół Katedry Teatru i Sztuki Mediów
wniesie wiele ważnych inicjatyw naukowych i społecznie użytecznych
zarówno dla naszego uniwersytetu, jak i mieszkańców naszego miasta.
Lubię spełniać marzenia – deklaruje prof. Alina Mądry**

w Ukrainie prace nad jej odkrywaniem zostały praktycznie wstrzymane. A to przecież na tych terenach, obecnej Białorusi i Ukrainy, działały kapele muzyczne na dworach naszych arystokratów i szlachty. Miejmy nadzieję, że przyjdzie jeszcze dobry czas na kontynuację badań. Na szczęście w połowie lat 90. minionego wieku na dobre otworzyły się archiwa i biblioteki kościelne. Minął strach, że muzykolog starający się dotrzeć do archiwalnych materiałów muzycznych może mieć jakieś inne, niecne zamiary... Wiemy już, że archiwa kościelne mają znakomite zbiory muzyczne; najczęściej są to kolekcje rękopisów po kapelach działających w dawnej Rzeczypospolitej. Pracujemy nad tym, bowiem ta muzyka zasługuje na naszą uwagę i na przywrócenie do praktyki wykonawczej.

Sądzi pani, że przeciętny słuchacz muzyki klasycznej wie, kto to jest Wojciech Dankowski?

– Nie, a to jest znakomity kompozytor. Kilka jego utworów jest nagranych w serii „Jasnogórska Muzyka Dawna”. W Gdańsku, podczas festiwalu „Organy Plus”, pod dyrekcją Andrzeja Szadejki, było świetne wykonanie jego najlepszej mszy, D-dur, znajdującej się w zbiorach wielkopolskich. Utwór wykonano, ale zabrakło już środków finansowych na nagranie. To kolejna taka sytuacja: ogromny projekt, dużo pracy wykonanej przez muzyków i brak nagrania. Na szczęście inaczej było w przypadku wykonania w poznańskiej farze „Requiem” Józefa Paszkiewicza, prawdopodobnie muzyka i kompozytora naszej poznańskiej kapeli farnej. Ten utwór pochodzi z kolekcji najstarszych muzykaliów pozostałych po kapeli poznańskiej działającej jeszcze w kolegiacie pw. św. Marii Magdaleny, której początki sięgają lat 70. XVII wieku. Niewiele jest miast w Polsce, które mogą się pochwalić muzykami swojej dawnej kapeli. Poznań taką kolekcję muzykaliów posiada. „Requiem” Paszkiewicza zostało napisane najprawdopodobniej na okazję pochówku jakiegoś znamienitego poznaniaka w latach 70. XVIII wieku. W listopadzie 2018 roku odbyła się msza w farze za ponownie pochowanych, których szczątki wydobyto podczas wcześniejszych prac archeologicznych na placu Kolegiackim. Utwór ten zabrzmiał po raz pierwszy od ponad dwustu lat; prawdopodobnie był pisany dla kogoś, czyje szczątki były wówczas ponownie chowane. Po koncercie zarejestrowaliśmy go i został wydany na płycie CD. Ukazał się także zeszyt z edycją nutową. Wszystko to zadziało się dzięki wsparciu finansowemu miasta. Wydawało się wówczas, że dawna muzyka poznańska została

wreszcie doceniona przez władarzy Poznania. Niestety kolejne starania mające na celu przywrócenie tej muzyki mieszkańcom miasta nie spotkały się ze zrozumieniem. Trudno przebić ten mur. A to przecież nasze muzyczne dziedzictwo.

Została pani niedawno p.o. kierowniczką Katedry Teatru i Sztuki Mediów. Co chciałaby pani zmienić?

– Priorytetem dla mnie jest ustalenie, wspólnie z zespołem, strategii rozwoju naszej katedry, a w tym działań społecznie użytecznych. Chciałabym, aby to, co robimy razem ze studentami, było w mieście widzialne i użyteczne. Także nasze indywidualne działania naukowe winny realizować przemyślaną koncepcję, która przyniesie korzyści nam jako zespołowi i stanie się cenna dla uniwersytetu. Na pewno niebawem pomyślimy o projekcie, który uaktywni nas naukowo. Mam kontakt z grupą zagranicznych badaczy i badaczek, którzy przygotowują się do stworzenia projektu mającego na celu poprawę jakości życia ludzi poprzez zaangażowanie w sztukę. Zapowiada się obiecująco. Skupiamy się także na nawiązaniu współpracy z instytucjami kultury i innymi jednostkami uczelnianymi, w których nasi studenci będą mogli czynnie się udzielać i realizować, współpracować, teorię przekuć w praktykę, zyskiwać konkretne kompetencje potrzebne na obecnym rynku pracy. To zresztą dzieje się w katedrze od wielu lat, bowiem studenci pod opieką dr Agaty Siwiak realizują projekt „Nowa siła kuratorska”. Uczą się pracy zespołowej, tworzenia i realizacji projektów wraz z pozyskiwaniem na to środków. Na pewno będziemy to kontynuować. Nie zapominamy także o ich rozwoju naukowym. Chcemy uruchomić cykl spotkań i rozmów z osobami, które mają obecnie ogromny wpływ na kształt teatru, jego rolę w społeczeństwie, odkrywają nowe przestrzenie, także związane z rozwojem mediów. Ten świat jest ogromnie różnorodny, a my chcemy być jego aktywną częścią. Myślimy o tym, aby wejść do szkół i pomagać dzieciom i młodzieży w rozwoju poprzez sztukę: teatr, muzykę czy taniec. A zatem ważnym elementem naszej strategii będzie na pewno obszar związany z pedagogiką teatru. Powstaje także projekt dotyczący edukacji medialnej, który odnosi się do bezpieczeństwa i przemocy w świecie medialnym. Angażujemy się również w realizację projektów poza uniwersytetem. W tym zakresie naprawdę jesteśmy bardzo aktywni, a to dodatkowo podnosi nasze praktyczne umiejętności, którymi dzielimy się ze studentami.

Rozmawiał Dariusz Nowaczyk

Odczarowują gramatykę

Na popularyzację nauki trzeba mieć pomysł. Na przykład taki, jaki zrealizowali germaniści z UAM – **dr Violetta Frankowska** i **dr Miłosz Woźniak** – w książce „Pokaż język. Słowem o słowie”. Publikacja, skierowana głównie do dzieci, w inteligentny i przystępny sposób przybliży tajniki języka polskiego.



Pozycja jest polskim odpowiednikiem niemieckiej książeczki „Wer denkt sich die Wörter aus? Eine Wort-Schatz-Suche”, napisanej przez Brigitte Schniggenfittig i Jörga Wagnera z Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle i Wittenberdze. Do jej powstania doszło dzięki współpracy naukowców z obu uczelni, rozpoczętej w 2015 roku. Badacze z UAM między innymi wyjechali do Niemiec w ramach programu „Młoda Kadra”, uczestniczyli też w projekcie naukowym dotyczącym języka prawa i przemocy, zakończonym konferencją w Poznaniu. Współpraca układała się świetnie i dlatego, gdy autorzy z Halle zaproponowali zaadaptowanie swojej książki na polski, dr Frankowska i dr Woźniak niemal od razu powiedzieli: tak!

– Książeczka i pomysł na nią bardzo nam się spodobały, publikacja okazała się w Niemczech małym hitem, dlatego też zdecydowaliśmy się podjąć to wyzwanie. Zrobiliśmy to z myślą, by książka trafiła do szerszej publiczności i może kiedyś była wykorzystywana w szkołach – mówi Violetta Frankowska.

Przekład tekstu był tylko jednym z elementów pracy nad książką. Polscy autorzy twórczo dostosowali go do potrzeb rodzimych czytelników, co wymagało między innymi napisania od podstaw kilku rozdziałów. Jednym z nich był ten poświęcony zdrobnieniom, których w języku polskim jest o wiele więcej niż w niemieckim. Tłumacze poświęcili też wiele czasu na gruntowne przeszukanie księgarń i bibliotek, by znaleźć dzieła literatury światowej i polskiej popularne nad Wisłą. Ich fragmentami zastępowali cytaty z niektórych utworów literatury niemieckiej nieznanymi Polakom.

Czasem, gdy mimo starań germaniści nie mogli znaleźć adekwatnego odpowiednika, sami tworzyli wierszyki. – Zależało nam na tym, żeby teksty były stylizowane na język mówiony. Taka forma zachęca do czytania dzieciom na głos – wyjaśnia Miłosz Woźniak.

Książka, która przemycy wiele ważnych pojęć, może zainteresować również dorosłych, bo nie tylko przypomina

wiadomości o języku, ale pozwala też dowiedzieć się czegoś nowego, na przykład skąd pochodzą nazwy miejscowości, takie jak Swornegacie czy Niemyje-Ząbki.

– Naszym założeniem było odczarowanie gramatyki, często w szkole uważanej za coś trudnego i niepotrzebnego. Staraliśmy się pokazać, że gramatyka „klei” słowa – powoduje, że zdania mają sens – przekonuje dr Woźniak.

Podczas pracy nad „Pokaż język...” naukowcy nauczyli się, jak pisać dla dzieci. Od redaktorki merytorycznej polonistki prof. Jolanty Tambor z Uniwersytetu Śląskiego otrzymali wiele przydatnych wskazówek. – Dostaliśmy wytyczne, żeby pisać niezbyt długie i nieskomplikowane zdania, używać wyrazów, które nie są abstrakcyjne dla dzieci – mówi dr Frankowska. – Mimo to potrzebowaliśmy czasu, by wcielić się w nową rolę. Wersję ostateczną czytaliśmy na głos godzinami i znamy ją prawie na pamięć.

Warto dodać, że publikację uzupełniają oryginalne, ręcznie malowane ilustracje, wykonane przez znanego grafika Dietera Gilferta, którego polscy autorzy odwiedzili w jego atelier w Halle.

Przygoda z książką nie skończy się na jednym tomie, poświęconym strukturze języka. Tłumacze wzięli już na tapet tom drugi, dotyczący pragmatyki języka, czyli tego, co oznaczają wypowiedzi w konkretnych sytuacjach komunikacyjnych.

– Językiem nie tylko przekazujemy informacje, możemy też doprowadzić do działania, na przykład poprosić kogoś o zamknięcie okna, obrazić czy powiedzieć komplement – wyjaśnia Miłosz Woźniak. – Poruszmy tematy związane ze stylem wypowiedzenia się, dopasowania do sytuacji komunikacyjnej. Dużym wyzwaniem będzie zaadaptowanie tej tematyki na język polski z powodu różnic strukturalnych.

Książkę opublikowało Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego w serii „Kultura i Język Polski dla Cudzoziemców”. Z autorami będzie można spotkać się i porozmawiać już w marcu na Poznańskich Targach Książki na MTP w Poznaniu.

Ewa Konarzewska-Michalak

Rośliny na granicy kosmosu

W świecie pełnym tajemnic i fascynacji kosmosem zespół studentów z Wydziału Chemii postanowił zanurzyć się w wyjątkowe badania. Projekt „Space Beans”, choć początkowo tajemniczy, otwiera przed nami drzwi do przyszłościowej eksploracji kosmosu. Zespół znalazł się wśród finalistów konkursu „Direction: Space” organizowanego przez Fundację New Space oraz Fundację Empiria i Wiedza. Z przedstawicielami „Space Beans”: Joanną Wojtukiewicz i Gabrielem Ławińskim rozmawia Jagoda Haloszka.

Konkurs „Direction: Space”, którego jesteście finalistami, cieszył się dużym zainteresowaniem.

Joanna Wojtukiewicz: W edycji wystartowało kilkadziesiąt zespołów. Spośród nich tylko tuzin zakwalifikował się do drugiego etapu. Jesteśmy dumni, że znaleźliśmy się w grupie finalistów. Obecny etap jest jeszcze ważniejszy. Wybranych zostanie bowiem sześć zespołów, które będą miały szansę zbudować swoje projekty, a tylko jeden z nich zostanie wybrany do realizacji na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). Drugi etap kończy się w marcu, natomiast całkowite zakończenie konkursu planowane jest na przyszły rok. Razem z Gabrielem Ławińskim, Gustawem Fitą, Arkadiuszem Tarasem i Natalią Bogdanowicz marzymy o pracy dla ISS.

Skąd wzięła się inspiracja do waszego projektu „Space Beans”?

Gabriel Ławiński: Pomysł zaczerpnęliśmy z koncepcji Cylindra O’Neill’a, który zachwycił nas w filmie „Interstellar”. To ogromny cylindryczny twór, zawieszony w przestrzeni kosmicznej, zapewniający warunki życia wielu ludziom dzięki siłom odśrodkowym. Postanowiliśmy zminiaturyzować ten pomysł, umożliwiając wzrost roślin w warunkach mikrogravitacji.

Jakie są kluczowe elementy waszego eksperymentu?

G.Ł.: Nasz eksperyment opiera się na umieszczeniu nasion roślin: soi i fasoli w cylindrze

wypełnionym hydrożelem, który będzie podłożem z nawozem, wspierającym rośliny w procesie wzrostu. Planujemy mierzyć kierunek wzrostu korzeni i testować wpływ dodanych hormonów roślinnych. Sama konstrukcja została projektowana w programach AutoCAD i Solid Edge. Cały trójwymiarowy model naszej wirówki składa się z obudowy bębna i silnika, który go napędza, utrzymując prędkość obrotową właściwą do generowania odpowiednio silnego ciężenia. Jeśli chodzi natomiast o metodologię samych badań, zamierzamy między innymi sprawdzać wzrost korzeni poprzez pomiar zawartości skrobi, po wybarwieniu jej jodem i oznaczeniu stężenia kompleksu jodowo-skrobiowego za pomocą spektrofotometrii.

To brzmi naprawdę świetnie. A jakie wyzwania logistyczne musieliście pokonać, tworząc projekt?

J.W.: Pierwszym wyzwaniem było umieszczenie całej konstrukcji w sześcianie o boku 10 centymetrów, z maksymalną masą wynoszącą jedynie kilogram. Dodatkowo musieliśmy rozważyć sposób porównywania wyników eksperymentu na Ziemi i w warunkach mikrogravitacji, co wymagało pewnych założeń i kreatywnego myślenia.

No właśnie. Jak porównać na Ziemi coś, co w kosmosie będzie działało bez grawitacji?

G.Ł.: Musimy przyjąć pewne założenia, żeby takie porównanie zrobić, by przeprowadzić taką kontrolę na Ziemi. Zastanawialiśmy się,

jak to zrobić – jak wykonać to merytorycznie i na dodatek tak, by uzyskać satysfakcjonujące zespół wnioski. Jeśli chodzi o samą atmosferę, to nie musimy tutaj niczego zastępować, ponieważ na ISS warunki atmosferyczne są bardzo podobne do tych na Ziemi – zarówno jeśli chodzi o stężenia gazów, jak również ich ciśnienie.

W jaki sposób ten projekt wpisuje się w szerszy kontekst badań kosmicznych, zwłaszcza w dobie rosnącego zainteresowania podróżami kosmicznymi, międzyplanetarnymi?

G.Ł.: Wiadomo, że przemysł kosmiczny rozwija się bardzo prężnie. Musi za nim podążyć nasz zasób wiedzy nad zachowaniem się roślin w kosmosie. To kluczowe zagadnienie, jeśli chcemy myśleć o rozwoju misji kosmicznych. Bez własnego pożywienia się nie da, więc rola roślin jest tu niebagatelna. Pojawia się też problem przewiezienia jakiegokolwiek materii w kosmos, bo zdajemy sobie sprawę z faktu, że jest to bardzo kosztowne i to bez względu na wagę. Astronauci przebywający w bazach księżycowych, marsjańskich, czy innych miejscach w przestrzeni kosmicznej muszą mieć dostęp do świeżej żywności. Prędzej czy później konieczne będzie więc produkowanie żywności na miejscu. Żeby robić to efektywnie, musimy wiedzieć, jak hodowane przez nas rośliny będą się zachowywać. Udzielenie odpowiedzi na to pytanie pomoże nam projektować przyszłe misje oraz tworzyć pierwsze źródła hodowli roślin przeznaczonych do konsumpcji przez ludzi.



Lubię zajmować się tym, co trudne

– Lubię zajmować się tym, co trudne, co stanowi dla mnie wyzwanie – mówi matematyczka **prof. UAM Edyta Juskowiak**. Pani prodziekan ds. studenckich i kształcenia jest nie tylko jedną z niewielu kobiet naukowczyń pracujących na Wydziale Matematyki i Informatyki UAM, ale również pasjonatką dydaktyki matematyki.

Przyznam, że do rozmowy z panią zainspirowała mnie prof. Stanisława Kanas, prezeska Polskiego Towarzystwa Kobiet w Matematyce. To ona zwróciła uwagę na coś, co wydaje mi się zdumiewające, a mianowicie, że na naszym uniwersytecie nie ma kobiety matematyczki z tytułem profesora.

– Tak jest niestety i to nie tylko na naszym uniwersytecie. Kobiet w matematyce jest po prostu mało. Nie wiem tylko, czy pani dobrze wybrała, bo ja jestem specyficzną matematyczką – dydaktykiem zafascynowanym kształceniem nauczycieli. Po zakończeniu studiów na naszym wydziale na kierunku matematyka specjalność nauczycielska podjęłam się napisania bardzo specyficznego doktoratu z dydaktyki matematyki. Wybór takiej ścieżki rozwoju utrudnił mi karierę naukową.

Dlaczego pani doktorat był specyficzny?

– Dydaktyka matematyki nie jest w Polsce dyscypliną naukową, mimo że na uczelniach w całym kraju pracuje grono osób, które zajmują się tą dziedziną wiedzy. Wszyscy dydaktycy matematyki mają trudności związane z awansem naukowym. Zresztą podobny problem dotyka też dydaktyków przedmiotowych wszystkich dyscyplin z dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych. Prowadzimy badania naukowe, publikujemy, uczestniczymy w konferencjach tematycznych poświęconych dydaktyce, ale nasze osiągnięcia nie są wliczane do dorobku naukowego. W wielu

dyskusjach, jakie od lat prowadzone są w Polsce na temat trudności związanych z awansami naukowymi w dziedzinie dydaktyki przedmiotowej, podkreśla się z jednej strony brak dyscypliny, a z drugiej brak ekspertów – recenzentów tak specyficznych rozpraw. Dla przykładu z obszaru dydaktyki matematyki: matematycy nie zajmują się zagadnieniami związanymi z dydaktyką tego przedmiotu, a pedagodzy mogą mieć trudności z oceną zagadnień matematycznych. Dydaktyka matematyki to matematyk, który bada proces uczenia się i nauczania tego przedmiotu.

Wspólnie z kolegami i koleżankami toczyliśmy starania o utworzenie nowej dyscypliny w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych, która będzie zajmowała się tylko dydaktyką przedmiotową. W ubiegłym roku, wraz z **prof. Tomaszem Łuczakiem** i prof. Ewą Swobodą, przygotowaliśmy w tej sprawie memorandum do Ministra Edukacji i Nauki. Prowadzimy też rozmowy ze środowiskami naukowymi z PAN, PTM i władzami wydziałów reprezentującymi nauki ścisłe i przyrodnicze. Mam nadzieję, że jesteśmy na dobrej drodze do tego, aby wprowadzić możliwość dwutorowego awansu naukowego, czyli zarówno na drodze utworzenia nowej dyscypliny, jak i w ramach już istniejących dyscyplin naukowych.

Lubi pani podejmować wyzwania?

– Lubię zajmować się czymś, co jest trudne, co stanowi dla mnie wyzwanie. Miałam to szczę-

ście, że władze naszego wydziału umożliwiły mi realizację mojego doktoratu. To sprawiło, że obecnie prowadzę badania w zakresie dydaktyki matematyki, diagnozuję problemy związane z kształceniem nauczycieli i edukacją matematyczną, staram się też wdrażać innowacje dotyczące nowych rozwiązań w nauczaniu. Współpracuję ze środowiskiem dydaktyków matematyki z całego świata. Co ciekawe, mimo tego, że nie są to badania związane z czystą matematyką, również na swojej drodze nie spotykam wielu kobiet.

Na WMiI kobiety stanowią zaledwie 20% pracowników.

– W gronie dziekańskim jestem jedyną kobietą, podobnie w Radzie Dziekańskiej, która liczy 17 osób, trochę lepiej jest w Radzie Dyscypliny, gdzie kobiet jest kilka, ale rada liczy aż prawie 60 osób. Jest nas rzeczywiście mało, ale myślę, że sytuacja i tak jest lepsza niż kilka lat temu. W obecnej kadencji dziekańskiej kobiety pełnią ważne funkcje w wielu gronach osób decydujących o organizacji i rozwoju nauki oraz dydaktyki – jedna pani prodziekan, dwie kierowniczki kierunków studiów oraz osiem pełnomocniczek dziekana.

Z drugiej strony jestem przeciwna wszelkim regulacjom prawnym, które miałyby na siłę doprowadzać do parytetów czy to w biznesie, czy w nauce. Tworzenie sztywnych wytycznych dotyczących różnorodności moim zdaniem nie

sprawdza się, a raczej wywołuje efekt zatrudnienia czy promowania z konieczności. Uważam, że przede wszystkim powinniśmy stawiać na osoby kompetentne. Proszę zauważyć, że w obszarze nauk społecznych sytuacja jest diametralnie odwrotna: tam brakuje mężczyzn. Taka sytuacja jest również na naszym wydziale, na kierunku nauczanie matematyki i informatyki, który nota bene jest pierwszym w Polsce kierunkiem studiów o takim profilu – tam również nie mamy zbyt wielu panów. Rekrutujemy około 50 osób, po pierwszym roku na studiach pozostaje 2-3 mężczyzn. Problem, jak myślę, jest bardziej złożony. Wydaje mi się, że w naszym społeczeństwie cały czas pokutuje stereotyp mężczyźni-żywiela rodziny. Panowie poszukują zawodu, który pozwoli im utrzymać żonę, dzieci, a praca w szkole takich gwarancji niestety jeszcze nie daje. Ale jest też druga strona medalu. Ci, którzy z nami pozostają, zyskują naprawdę unikatowe kompetencje. Na naszym kierunku, który uzyskał Certyfikat Studia z Przyszłością wraz z Laurem Innowacji, przygotowujemy nauczycieli gotowych do aktywnej pracy z uczniami, do stawiania wyzwań, prowokowania do myślenia.

Trochę zapędziłyśmy się w dydaktykę, a ja chciałabym jeszcze przez moment porozmawiać o kobietach w matematyce. Czy zgodzi się pani z opinią, że kobiety nie mają umiejętności analitycznego myślenia?

– To jest bardzo dyskusyjne. Tego typu stereotypy – niestety – nadal funkcjonują w polskich szkołach. Zakłada się, że chłopcy są lepsi z przedmiotów ścisłych, dlatego to im właśnie stawia się wyzwania i premiuje osiągnięcia wyższymi ocenami.

Są takie badania, które pokazują, że zdecydowana większość dziewczyn, które miały ocenę bardzo dobrą na świadectwie maturalnym z rozszerzonej matematyki, nie podejmowała decyzji o studiach na kierunku ścisłym. Te kobiety z reguły wybierały kierunki humanistyczne czy społeczne, ponieważ, jak argumentowały, te studia wydawały im się przyjemniejsze. Nie mówimy tu oczywiście o tym, że matematyka jest mało przyjemna, bo jeśli ktoś ją kocha, to nie ma co do tego wątpliwości. Raczej tym dziewczynom studia na kierunkach ścisłych kojarzyły się z szeregiem wyzwań, których nie chciały już podejmować lub do których przez cały okres swojej edukacji były zniechęcane.

Matematyka jest bardzo wymagającą dzie-

– Matematyka jest bardzo wymagającą dziedziną nauki, już na etapie wczesnoszkolnym musimy tworzyć uczniom środowisko aktywnego rozwoju

ziną nauki, dlatego od samego początku, już na etapie wczesnoszkolnym, musimy tworzyć uczniom środowisko aktywnego rozwoju matematycznego, niezależnie od tego, czy są chłopcami, czy dziewczynkami.

Jak w praktyce wygląda takie środowisko „aktywnego rozwoju”?

– Jestem entuzjastką holenderskiej szkoły edukacji problemowej połączonej z nauczaniem wyprzedzającym. Jest to metoda opierająca się na stawianiu przed uczniami – najlepiej pracującymi w grupach – pewnych problemów, które z pomocą nauczyciela – mentora i mistrza – oraz wszelkich możliwych zasobów starają się rozwiązać. Tych zasobów mamy cały ogrom: książki, filmiki, artykuły, liczne środki dydaktyczne – wszystko to dzisiaj jest na wyciągnięcie ręki. Najlepiej, aby zadania oparte były na kontekście związanym z rzeczywistością, z tym, co nas otacza. W ten sposób jesteśmy w stanie zbudować naprawdę spory zasób wiedzy matematycznej, przy jednoczesnym rozwoju takich kompetencji, jak logiczne i krytyczne myślenie, wnioskowanie, dowodzenie, tworzenie strategii, stawianie wyzwań, radzenie sobie z trudnościami. Ten proces zakłada też, że czasem zadanie kończy się niepowodzeniem i trzeba zdiagnozować, gdzie pojawił się błąd, jaka była jego przyczyna.

I czego pani wówczas dowiedziała się o szkole i nauczycielach?

– Byłam bardzo krytyczna. Było to w pierwszej dekadzie XXI wieku. W szkole brakowało wówczas jeszcze wielu rzeczy, ale przede wszystkim uderzyło mnie to, że w programie nauczania jest tak niewiele elementów rozwijających w uczniach umiejętności krytycznego myślenia czy też myślenia analitycznego w obszarze matematyki.

Pamiętam, że poprosiłam dyrekcję o zgodę na niestandardowe lekcje. W pracy doktorskiej zajmowałam się zagadnieniem związanym z rolą kalkulatora graficznego w procesie kształtowania pojęcia funkcji. Wśród nauczycieli

jakikolwiek kalkulator był wtedy największym złem. Argumentowali oni, że jeśli zezwolą na jego użycie, to uczniowie nie będą rozwijać umiejętności liczenia, nie nauczą się tabliczki mnożenia itd. A przecież nie tylko o to chodzi w nauczaniu matematyki, by nauczyć sprawnego rachowania. Wszystko zależy od tego, jak my to narzędzie wykorzystamy, jak skonstruowane jest zadanie matematyczne, czym ma być na lekcji takie narzędzie. Jeśli mamy problem matematyczny, którego elementem jest przeanalizowanie bardzo wielu prób graficznych, to taki kalkulator graficzny świetnie nam to ułatwi. W dydaktyce matematyki takie narzędzie nazywamy rusztowaniem. Uczniowie, którzy na przykład nie radzą sobie z rachunkami, dzięki wykorzystaniu kalkulatora graficznego czy też innego narzędzia mogą wziąć czynny udział w pracy nad rozwiązaniem problemu. Zadaniem nauczyciela jest zaangażowanie uczniów w proces myślenia, sprowokowanie ich do działania.

Zaczęłyśmy od tego, dlaczego tak mało jest kobiet w naukach ścisłych. Jest na to jakaś recepta?

– Nie sądzę, aby to się zmieniło w najbliższym czasie. Matematyka była i będzie bardzo wymagającą dziedziną wiedzy. Badania, które prowadzimy, są czasochłonne i wymagają ogromnego zaangażowania – tego nie zmieni nawet sztuczna inteligencja, która jedynie może ten proces odrobinę przyspieszyć. A kobiety – cóż, mimo spadku dzietności i ogólnego kryzysu rodziny, nie sądzę, aby chciały rezygnować z macierzyństwa. A to są często tego typu dylematy. Ja, Edyta Juskowiak, miałam u progu moich studiów doktoranckich wszystko zaplanowane. Wiedziałam, że najpierw napiszę doktorat, a potem razem z mężem założymy rodzinę. Pamiętam, że część moich egzaminatorów była wówczas sceptyczna odnośnie do moich planów. Dziś myślę, warto było konsekwentnie dążyć do celu.

Rozmawiała **Magda Ziółtek**

Cały rozmowa na www.uniwersyteckie.pl 

Klatka po klatce



O sukcesach **Marty Czarneckiej**, absolwentki Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego w Kaliszu i malarki pracującej przy filmach „Twój Vincent” i „Chłopi”, informowaliśmy wielokrotnie. Wreszcie pod koniec stycznia nadarzyła się okazja, aby poznać ją osobiście. Pani Marta wzięła udział w spotkaniu ze studentami na WFPiK, a wkrótce potem mogliśmy porozmawiać.

Pamiętam, jak w 2018 wszyscy trzymaliśmy kciuki za „Twojego Vincenta”, mając nadzieję, że dostanie Oscara. Wydaje się, że kolejna produkcja, przy której pani pracowała, czyli „Chłopi”, mimo nadziei, nie zostanie nawet nominowana do nagrody?

– Trudno mi się wypowiadać w tej kwestii, ponieważ nie śledzę wydarzeń na bieżąco. Wiem natomiast, że promocja filmu to skomplikowany proces. Jako malarka jestem trochę z boku, patrzę na wszystko z dystansem, bez oczekiwań, i myślę, że Oscary nie są jedynym wyznacznikiem sukcesu filmu. Niemniej jednak kibicuję „Chłopom” całym sercem.

Na spotkaniu wspominała pani, że od dziecka chciała być malarką.

– Odkąd pamiętam, interesowałam mnie sztuka. Jako mała dziewczynka marzyłam, by zostać malarką. Pamiętam, jak w dzieciństwie podkrażałam bratu encyklopedię i z zachwytem oglądałam w niej reprodukcje różnych obrazów – choć były to zaledwie kilkucentymetrowe wydruki i daleko im było do współczesnych pięknych albumów z reprodukcjami albo do wysokiej jakości zdjęć, które obecnie są dostępne w internecie. Zawsze, gdy coś mi się podobało, chciałam to narysować. Rysowałam też portrety, czasem prosiłam siostrę o pozowanie. Dużo też kopiowałam – od rysunków postaci z książek Disneya w dzieciństwie aż po kopie obrazów znanych malarzy w dorosłym życiu. To niesamowite, ile można się dzięki temu nauczyć.

Opowie pani o Kaliszu i studiach na WPA?

– Znalazłam się tam trochę przez przypadek. Nie dostałam się na Akademię Sztuk Pięknych (dziś Uniwersytet Artystyczny) w Poznaniu – zdawałam wówczas na grafikę warsztatową – a ponieważ nie chciałam stracić roku, zapisałam się na edukację artystyczną w zakresie sztuk plastycznych na WPA. Z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że to był bardzo dobry okres w moim życiu. Wiele się nauczyłam, byłam bardzo zaangażowaną studentką. Pamiętam, że uczestniczyłam wtedy w licznych projektach, wystawach, prowadziłam wiele zajęć plenerowych dla dzieci i młodzieży – naprawdę sporo działo się w moim życiu. Mogę się nawet pochwalić, że otrzymałam nagrodę dla najlepszej studentki UAM w konkursie „Primus Inter Pares”. Miło wspominać też samo miasto. Później przeniósłam się do Poznania, ale Kalisz pozostał dla mnie ważnym miejscem, do którego lubię wracać, a zawarte w nim przyjaźnie trwają do dziś.

Podobno ogłoszenie o naborze do filmu „Twój Vincent” podesłała pani koleżanka?

– O tym, że taki film powstaje, usłyszałam w pracy – przez rok pracowałam w gimnazjum w moim rodzinnym Kostrzynie. Pamiętam, jak mówiłam moim uczniom, że może wybierzemy się wspólnie na „Vincenta” do kina. Myślałam, że produkcja już się skończyła i lada dzień film trafi do kin.

Później zrezygnowałam z pracy w szkole, zajęłam się malowaniem kopii obrazów na zamówienie i zapomniałam o filmie, ponieważ nic nie było o nim słyhać... Ale przyjaciółka podesłała mi zdjęcie plakatu z informacją, że studio filmowe BreakThru Films szuka malarzy do pracy przy tej animacji. Myślałam, że może plakat jest nieaktualny, ale na wszelki wypadek zadzwoniłam i okazało się, że rzeczywiście szukają malarzy. Postanowiłam się zgłosić, choć nie do końca wtedy w siebie wierzyłam. Jednak moje portfolio zostało zaakceptowane, następnie zostałam zaproszona na trzydniowe testy do Gdańska, które zakończyłam z sukcesem, a później na dwutygodniowe szkolenie... I tak trafiłam do ekipy „Twojego Vincenta”.

Na czym polegała pani praca przy filmie?

– Pracowałam przy animacji malarskiej. Moje zadanie polegało na malowaniu klatek filmowych w stylistyce malarstwa van Gogha. Jako referencje dostawaliśmy film w aktorskiej obsadzie, który następnie – klatka po klatce – przemalowywaliśmy na podobrazie malarskie farbami olejnymi. Ja pracowałam przy ujęciach kolorowych i moją specjalizacją były szerokie kadry i ujęcia z kilkoma postaciami.

Na czym polegała trudność w tworzeniu takich klatek filmowych?

– Musiałam skonfrontować się z kilkoma rzeczami, z którymi jako malarka nie miałam wcześniej do czynienia. Podstawowa i chyba najbardziej oczywista różnica to fakt, że malując obrazy, nie musiałam przejmować się ruchem. A w animacji to jest najważniejsza sprawa. O wielu rzeczach trzeba pomyśleć wcześniej, na przykład przygotować sobie zapas każdego koloru, aby wystarczyło farby do końca ujęcia; trzeba zwracać szczególną uwagę na to, aby kolory nie zmieniały się w trakcie ujęcia (trudnością było na przykład malowanie marynarki Armanda, która była żółta, a jej kontur malowany był błękitem pruskim, który ma bardzo wysoką pigmentację i wystarczyło mieć tylko lekko zabrudzony pędzel lub niedokładnie ściągnąć szpachelką farbę z poprzedniej klatki, a już cała marynarka zmieniała się w zieloną). Należy również pilnować tego, aby pociągnięcia pędzla przemieszczały się płynnie z klatki na klatkę – szczególnie przy stylu van Gogha było to istotne – w przeciwnym razie pojawiało się

nieprzyjemne migotanie obrazu i animacja traciła płynność. Do malowania używaliśmy farb olejnych (w „Chłopach” natomiast zastosowano farby olejne wodorozcieńczalne, bezpieczniejsze dla malarzy i środowiska), dodawaliśmy do nich olejek goździkowy, aby wydłużyć czas schnięcia. To sprawiało, że można było z nimi dłużej pracować. Po skończeniu malowania klatki robiliśmy jej zdjęcie, a następnie szpachelką usuwaliśmy z płótna wszystko to, co trzeba było przemalować, czyli wszystko, co na ekranie się porusza, i przystępowaliśmy do malowania kolejnej klatki. Potem zdjęcie, zmazanie, kolejna klatka... i tak setki razy. Aby uzyskać sekundę filmu, trzeba było namalować 12 obrazów – tyle pozwala zachować płynność ruchu w animacji. W „Twoim Vincencie” jest około 900 ujęć, każde z nich zostało namalowane na osobnym podobrazie.

Pracowaliście państwo w dużym zespole – 125 malarzy – jak wyglądała współpraca w takim gronie?

– Oczywiście nie wszyscy znajdowali się w jednym miejscu, bo w tamtym czasie oprócz studia w Gdańsku były również dwa mniejsze studia zamiejscowe. Ale i tak było nas bardzo dużo. Wydaje mi się, że około 80 malarzy w studiu w Gdańsku, w którym pracowałam. Tam wręcz nie dało się powstrzymać ciekawości, jak pracują inni. Każdy z zatrudnionych do projektu malarzy to utalentowany artysta, ciekawy człowiek – to była przyjemność obserwować ich przy pracy. W swoim gronie mniej więcej wiedzieliśmy, kto co maluje, dlatego często nawzajem się podglądaliśmy. Ale to było wręcz konieczne, ponieważ musieliśmy ujednoczyć swoje style malowania, wyzbyć się swojego własnego stylu czy maniery i jak najwierniej odtworzyć styl Vincenta.

Wspomniała pani, że praca przy „Chłopach” była trudniejsza ze względu na ruch, którego jest tam więcej.

– Tak, w tej produkcji zdecydowanie jest więcej dynamicznych ujęć z ruchem kamery. To sprawiało, że poszczególne klatki trzeba było przemalowywać w całości – inaczej niż w przypadku „Vincenta”. Poza tym zmienił się też styl malowania. W „Chłopach” inspiracją było malarstwo XIX i XX wieku, które jest bardziej dokładne, bogatsze w detale. Również fizycznie malowane klatki były tym

razem większe. To wszystko sprawiało, że film wymagał o wiele więcej pracy. Z tego powodu w produkcji wykorzystana została również animacja cyfrowa do uzupełnienia brakujących klatek (pomiędzy klatkami malowanymi olejnie). W sumie do filmu powstało 40 000 namalowanych odręcznie obrazów. Ktoś nawet policzył, że gdyby jeden malarz miał namalować ten film, potrzebowałby na to ponad 100 lat.

W tym filmie miała pani trochę inne zadanie?

– Zaczęłam od animacji malarskiej. Namalowałam w sumie dwie sceny portretowe: Boryny na jarmarku i Jagny w jej domu. W międzyczasie w studiu powstał zespół matte painterek, który zajął się projektowaniem tła malarskich. Nasze zadanie polegało na tym, aby do filmu, nagranych z aktorami na tzw. green screenach, dopasować tło, inspirowane malarstwem XIX i XX wieku. Musiałyśmy – bo w zespole były same kobiety – pilnować, aby tak stworzone graficznie kompozycje uwzględniały kolory, pory roku – które w powieści są bardzo ważne – ale również topografię wsi Lipce. Na potrzeby filmu dział efektów specjalnych stworzył wirtualną makietę wioski. Naszą pracą jako matte painterek było połączenie tego wszystkiego w programie graficznym – ujęcia nakręconego z aktorami (*live action*) z widokiem 3D wsi (dla zgodności topografii), z pejzażami z obrazów, dopasowanymi do sceny. Wszystkie elementy tła przygotowywałyśmy na osobnych warstwach: każda chmura, drzewo, każde zwierzę czy postać – wszystko osobno, tak aby zespół od efektów specjalnych mógł puścić ten obraz w ruch. Następnie do pracy przystępowali malarze, przenosząc poszczególne sceny na płótno według tego wzoru.

Obecnie zaangażowana jest pani w kolejny projekt?

– Tak. Studio BreakThru Films zaproponowało mi udział w nowej produkcji. Film nazywa się „A Winter’s Journey” i jest adaptacją „Winterreise”, cyklu pieśni Franza Schuberta do wierszy Wilhelma Müllera. Jeśli chodzi o stronę wizualną, będzie to animacja cyfrowa, inspirowana malarstwem epoki romantyzmu, między innymi twórczością Caspara D. Friedricha. Premiera jest przewidziana na ten rok.

Rozmawiała Magda Ziółek

Cały rozmowa na www.uniwersyteckie.pl



Nic nie zastąpi kreatywności twórcy

Tak studentki i studenci oceniają prace dr. Wykroty. To oczywiście żart, a praca „Nic ciekawego” to jedno z wydawnictw Pix.house

Z dr. Adrianem Wykrotą, fotoreporterem „Życia Uniwersyteckiego”, autorem książki „Sztuka poza sztuką? Fotografia dokumentalna w Polsce”, współtwórcą kultowego salonu fotograficznego Pix.house i wykładowcą UAM, rozmawia Krzysztof Smura.

Pamiętasz swoje pierwsze zdjęcie?

– Pierwszego raczej nie pamiętam, natomiast pamiętam doskonale emocje, jakie mi towarzyszyły. To były pierwsze próby fotografowania ludzi. Zacząłem od fotografii ulicznej. Przemierzałem miasto i szukałem ciekawych kadrów. Scen niepozowanych, to jest takich, które można zaobserwować i sfotografować.

A ostatnie zdjęcia?

– Wielką przyjemność sprawił mi ostatnio powrót do fotografii aparatem dalmierzowym – bez autofocusa i nowoczesnych technologii. Ostrość w tym aparacie ustawia się po prostu za pomocą małej krateczki w celowniku i fotografuje się zupełnie inaczej, wolniej, jakby dokładniej.

Dlaczego sztuka poza sztuką? Przecież dokument to jest sztuka.

– Tytuł książki wziął się tak naprawdę z mojej irytacji po przeczytaniu tekstu Sebastiana Cichockiego, który podsumowywał projekt digitalizacji zbiorów Zofii Rydet, fotografki, pionierki fotografii dokumentalnej w Polsce. W rzezonym teście ani raz nie pada określenie „fotografia dokumentalna”. Co

więcej, pojawia się stwierdzenie, że „Zapis socjologiczny” Rydet to sztuka poza sztuką. I oczywiście w akademiach sztuk pięknych od lat toczy się dyskurs wokół wychodzenia sztuki poza ramy sztuki, ale w przypadku Zofii Rydet, w przypadku dokumentu i w przypadku polskich kontekstów to złe i krzywdzące określenie. Niestety fotografia dokumentalna jest często niezauważana przez polskich kuratorów, przez rynek sztuki, galerie czy nawet muzea.

Czy fotografia cyfrowa cię ubogaciła czy zubożyła?

– Szczerze mówiąc, fotografia analogowa zawsze była dla mnie eksperymentem. Zacząłem fotografować w czasach, gdy dominowała już fotografia cyfrowa. Fotografia cyfrowa to znak czasu. Sprawdza się w codziennej pracy dla prasy czy portali. Pracuje się wtedy bardzo szybko. Można działać szybko, prawie natychmiastowo, i realizować kilka tematów dziennie, ale dla swoich celów i projektów potrzebuję spowolnienia. Analog wymaga czasu, cierpliwości, innego podejścia do fotografowania, a w takim przypadku owo spowolnienie działa na korzyść. Z drugiej

strony to, czy zrobimy zdjęcie telefonem komórkowym, aparatem analogowym, cyfrowym, czy czymkolwiek innym, mniej mnie obchodzi. Interesuje mnie to, co jest na zdjęciu. Interesuje mnie, jednym słowem, treść.

Fotografia jest obiektywna?

– Oczywiście, że nie. Nie ma czegoś takiego jak obiektywna fotografia. Ona zawsze nosi znamiona subiektywizmu, zarówno w działaniu twórcy, jak i odczycie odbiorcy. Ten pierwszy ma swoje przekonania, odpowiednio kadruje świat, decyduje, co znajdzie się na zdjęciu. Odbiorca natomiast odczytuje ten obraz po swojemu. Obiektywne może być wykorzystanie konkretnego zdjęcia, ale bywa i tak, że na przykład podpis pod zdjęciem całkowicie zmienia sens odczytu obrazu fotograficznego. Jednym słowem, to skomplikowane!

Często porównuje się pracę dziennikarza piszącego i fotoreportera. Ba – mówi się, że ten drugi to ma klawe życie...

– Nie bez przyczyny mówi się o tym, że żyjemy w czasach wizualnych. Przykładem jest internet – w sieci treści wizualne odgrywają decydującą rolę. Obojętnie, czy to będzie fo-

tografia, memy czy krótkie wideo. Ludzie skanują informacje, poświęcając jedynie milisekundy na ich odczytanie. Obraz jest na pewno łatwiejszy do przyswojenia niż słowo pisane.

Nie odpowiedziałeś mi na pytanie

– Obie sfery się uzupełniają. Dobry materiał, tzw. blacha, pozbawiony warstwy wizualnej może się okazać całkowicie niestrawny.

A zdjęcie bez tekstu sobie poradzi?

– Wydaje mi się, że to trudne. Projekty dokumentalne czy fotoreportaże muszą zawierać chociażby zdanie wprowadzenia albo lokalizator, czyli miejsce i czas wykonania, bo sama fotografia nawet ułożona w narrację wizualną będzie bardzo trudna w odbiorze. Będzie dla odbiorcy zbiorem zdjęć.

Czyli kanonu informacyjnego nie wypełni?

– Będzie nosić znamiona informacji, ale obawiam się, że większość osób nie odczyta całej historii. Gdy prowadzę zajęcia ze studentami, robimy ćwiczenie na odczytanie historii zawartych w książkach fotograficznych. Gdy tekstu jest mało lub studenci go nie zgłębią, interpretacje treści są bardzo zindywidualizowane.

Studenci. Nie jest łatwo ich zachęcić?

– Staram się ich zaskoczyć formułą. Przykładowo na moich zajęciach z fotografii reklamowej studenci są zdziwieni już na pierwszym spotkaniu, gdy mówię o tym, że nie będziemy uczyć się tego, jak tworzyć fotografię reklamową, nie będziemy uczyć się tego, jak obsługiwać sprzęt, tylko tego, jak opowiadać historię za pomocą aparatu, telefonu czy jakiegokolwiek narzędzia do rejestracji obrazu, którym dysponują. Uczymy się, że fotografia to nie tylko warstwa wizualna, ale też treść. Odwracamy zastany porządek, czyli zaczynamy mówić o storytellingu, o tym, w jaki sposób komunikować się za pomocą obrazu, i małymi krokami dochodzimy do fotografowania i samodzielnego wykonywania takich zdjęć i historii, w tym na przykład fotografii na potrzeby reklamy. Powstają wtedy zupełnie inne zdjęcia.

Na strychach, w piwnicach, ale i w muzeach leżą miliony nieskatalogowanych zdjęć będących obrazem, zapisem dawnych lat. Zdjęcia analogowe. Warto je oddawać na przykład do muzeów?

– Myślę, że zawsze warto. Choćby po to, by uchronić ten zapis od zniszczenia. Sprawa wymaga rozwiązań systemowych i oczywiście sporych nakładów finansowych. W Poznaniu mamy CYRYL-a. Również na UAM podejmuje się takie działania, jak choćby w przypadku Instytutu Historii Sztuki, gdzie przecież oddałeś kolekcję zdjęć Janusza Korpała. To dobre adresy.

Czy dzisiaj mamy takich mistrzów fotografii, jak Mariusze Forecki i Stachowiak, którzy w latach 80. zachwycali nas swoimi reportażami?

– Z Mariuszem Foreckim współpracujemy bardzo silnie. To razem z nim niemal 10 lat temu zakładaliśmy Fundację Pix.house, czyli miejsce spotkań z fotografią. Przez lata wydaliśmy całe mnóstwo nagradzanych książek fotograficznych, planujemy kolejne. Organizujemy wystawy, warsztaty, spotkania i dyskusje. Pomysł pojawił się, ponieważ w Poznaniu nie było takiej przestrzeni dla fotografii dokumentalnej i edukacji poprzez fotografię. Nie było typowej galerii czy miejsca spotkań dla ludzi, którzy zajmują się dokumentem i fotoreportażem.

Przeczytałem, że dziennie na platformy internetowe trafiają każdej sekundy miliony zdjęć...

– Sami karmimy tego potwora, zgadzając się na korzystanie z naszych fotografii. Wydaje mi się, że fotografia dokumentalna jest ciekawym remedium na tę naszą „chorobę internetową”.

– Szczerze mówiąc, fotografia analogowa zawsze była dla mnie eksperymentem. Zacząłem fotografować w czasach, gdy dominowała już fotografia cyfrowa

To, co robimy, czyli takie konsekwentne, rzetelne i powolne fotografowanie, dokumentowanie czegoś, staje się dzisiaj ważne jak nigdy.

Dzisiaj jeżeli ktoś chce gdzieś zaistnieć, to raczej tworzy jakieś własne wizje fotograficzne, żeby gdzieś się pokazać, być kimś innym. Być jak Picasso. Czy to jest ten kierunek, który obowiązuje i będzie obowiązywał?

– Język wizualny na pewno się zmienia i będzie odbiegał od tego klasycznego czarno-białego dokumentu czy fotoreportażu. To na pewno się zmienia, natomiast wydaje mi się, że fotografia powinna wrócić do swoich korzeni – szczególnie w dobie AI. Podobnie jak dziennikarstwo, powinna być weryfikatorem informacji. Informacja powinna być najważniejsza, a forma jest tu drugorzędna.

Czy w czasach, gdy wszyscy fotografują, a każdy uważa się za mistrza, bo ma dobrą komórkę, z fotografii da się wyżyć?

– Jest to znacznie trudniejsze niż kiedyś. Ważne, by znaleźć swoją niszę i w niej się specjalizować. Zapotrzebowanie na dobre zdjęcia wciąż rośnie. Niestety zauważalny jest też zachwyt biznesu nad AI. Coraz częściej używamy tej technologii i przypuszczam, że w krótkim czasie sztuczna inteligencja zastąpi dużą część fotografii komercyjnej. Na razie AI nie wykona jednak zdjęć dokumentalnych, a nawet i prostej dokumentacji. Nie zastąpi też wrażliwości i kreatywności twórcy.



Prof. Radosław Arkady Fiedler

Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa

(NIE)WYWIAD CARLSONA Z PUTINEM

[Nie]wywiad Tuckera Carlsona z Putinem dowodzi jedynie arogancji i ignorancji. Putin chciał propagandzisty i go dostał. Gdyby Carlson był dziennikarzem, nie byłoby audiencji.

Jakie były cele Putina – i te jawne, i te ukryte? Jednym z nich było wysłanie przekazu Trumpowi i jego wyborcom, że ma „ofertę pokojową”. Tucker nie dopytywał się o cenę tego pokoju. Po prostu uznał to za nieistotny szczegół. Poza tym amerykańskiego gościa nie interesował los bombardowanych cywilów ukraińskich ani nie wspominał on o ponurej rocznicy agresywnej wojny trwającej już dwa lata, choć bardziej już od dekady.

Po co Carlsonowi udzielanie głosu ofiarom? Jego odbiorcy wolą oglądać Putina. Tenże cyniczny influencer nie lubi pracy w terenie i konfrontowania się z ludzkimi emocjami i dramataми. Zdecydowanie preferuje pomieszczenia zamknięte – usadowiwszy się wygodnie, tym razem na kremłowskim krześle, cierpliwie czekał przez bite dwie godziny, bez zbytniego wiercenia się. W tej sytuacji trafniejsze jest określenie „pożyteczny idiota”, a takich na kartach historii niestety przewinęło się wielu. Jak niegdyś człowiek o wiele większym intelektualnym formacie, który także straszliwie pobił – dramaturg George Bernard Shaw był zafascynowany Stalinem i jego wytworami, morderczymi kolektywizacją i industrializacją.

W (nie)wywiadzie Putinowi udało się osiągnąć kolejny cel. Wyszedł nie tyle z izolacji, ile bardziej medialnego niebytu. Zwrócił się nie tylko do prawicowych odbiorców USA, ale także do mieszkańców globalnego Południa. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jednych i drugich nie interesuje historia tej części Europy, ani to, że jest agresorem. Natomiast chcą zobaczyć, że z Putina żaden krwawy dyktator – nie podnosi głosu, prawi spokojnie i monotonnie i chce pokoju.

Celów Putina jest zapewne więcej, a wspomnę o jeszcze

jednym. Jak miemam, ukrytą intencją Putina, i to też przemawia za wyborem Carlsona, jest popieranie Trumpa. Putin kalkuluje, a Trump niedawnymi kampanijnymi wypowiedziami podważa wiarygodność kolektywnej obrony w NATO. Robił to już wcześniej, gdy był prezydentem. Putin, zdaje się, liczy na chaos i niekompetencję – wewnętrzne konflikty mogą spowodować, że Amerykanie zajmą się sobą. To będzie dobry czas dla rewizjonistów, gdy odstraszenie oparte na wiarygodnych sojuszach przestanie działać.

Cele Carlsona są mniej wyrafinowane. Po utracie swojego okienka w Fox News dzięki wywiadowi z Putinem powrócił z rozmachem, zasięgi jego projektu eksplodowały i monetyzują swoją globalną rozpoznawalność. Według pogłosek ulubiony „dziennikarz” Amerykanów miał być typowany na wiceprezydenta. Był idealnym słuchaczem nudnego, pokrętnego i zafałszowanego wywodu Putina prawiącego o historii, groźnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Putin najpoważniej i po raz kolejny powtórzył formułę mołotowskiej propagandy, że Polska nie pozostawiła Hitlerowi wyboru, tak go prowokowała, i dostała z jego strony odpowiedź. Carlson spokojnie słuchał, nie polemizował z Putinem. Bardziej rzeczywista niż udawana ignorancja spowodowała, że nie przerywał długich wywodów, także o nieprawdziwości państwowości ukraińskiej.

Działalność Carlsona wpisuje się w ogólny trend. Manipuluje się faktami, nie ma docieklivości ani przyzwoitości. Liczy się show, manipulowanie informacją, podkreślanie emocji, szerzenie spiskowej teorii dziejów i granie na ostrą polaryzację. Odbiorca jest mało wymagający, dlatego wiecowy i populistyczny Trump jest znowu na fali wznoszącej. Jest niemal pewniakiem do no-

minacji partii republikańskiej. Pod koniec prezydentury, zamiast – zgodnie z politycznym rytuałem – pogratulować rywalowi zdobycia urzędu prezydenta, przekonał swoich wyborców do bezpodstawnych oskarżeń o skradzionych wyborach i nieuczynnych manipulacjach przy liczeniu głosów. Dla trumpistów szturm na Kapitol był nieznaczącym incydentem, a właściwie zwiedzaniem korytarzy pomieszczeń Kongresu, a człowiek bawół był ich miłym przewodnikiem. Trumpowi i jego akolitom udało się stworzyć alternatywną rzeczywistość.

Mało prawdopodobne, żeby Sąd Najwyższy odwołał się do XIV poprawki, a ściślej jej sekcji trzeciej o insurekcji, i zdyskwalifikował Trumpa. Nie sądzę, żeby sędziowie się odważyli. Zdaje się, że też nie chcą spontanicznego tłumu „zwiedzających”.

Kilka dni temu premier Donald Tusk w tweecie skrytykował republikańskich kongresmenów za opieszałość w zatwierdzeniu pakietu pomocy dla Ukrainy. Jak to ujął, taka postawa jest niezgodna z dziedzictwem Reagana. Tweet spotkał się z reakcją co najmniej kilku republikańskich senatorów – dali mu drugie i trzecie życie. Wykorzystali go raczej niezgodnie z intencją autora. Padły szykany z powodu wtrącania się w wewnętrzne sprawy USA i ponaglania ustawodawców, gdy „płonie granica” – niech sobie polski premier zabierze 7 milionów migrantów. Tweet już zszedł z afisza, a premier Tusk jako były przewodniczący Rady Unii Europejskiej jest rozpoznawalny także w USA. To też stwarza pewne szanse.

Trump mimo wielu niekorzystnych i chaotycznych działań, łącznie z próbą demontażu NATO, podejmował decyzje także korzystne dla interesu Polski. Wyraził zgodę na stałą amerykańską obecność i sensowne umocnienie flanki wschodniej NATO. Ponadto gdy Nordstream II był już prawie gotowy technicznie, Trump nałożył na tę inwestycję sankcje, blokując jego uruchomienie.

Prawdopodobna druga kadencja Trumpa będzie niemałym wyzwaniem dla Unii Europejskiej, dla stosunków transatlantycznych, samego NATO, dla Polski i chyba też demokracji w USA. Administracja raczej będzie zmieniać priorytety zaangażowania. Otoczenie i sam Trump nie chcą, jak mawiają, trwonić zasobów na rozwiązywanie kryzysów za innych. Wygląda na to, że te główne zasoby i środki skierowane zostaną przez Trumpa na rywalizację i nową wojnę handlową z Chinami.

Jakie są wnioski dla Polski? Politycy nie powinni raczej dawać Trumpowi do zrozumienia, że jest arogantem, a jego wyborcy są mało rozgarnięci. Obrażanie trumpistów z Trumpem na czele jedynie zaogni relacje z USA, a trzeba mieć świadomość, że Trump nie zapomina uraz. Jest narcystyczny i bezkrytyczny wobec siebie. Skoro nie można wybierać u nas prezydenta USA, należy starać się prowadzić taką politykę, by wpisać się w strategię USA i by nasz region nie wypadł z priorytetów Waszyngtonu. Najpierw trzeba dotrzeć do otoczenia i do samego Trumpa, co na pewno nie jest łatwym zadaniem.

Bezpieczeństwo RP nakazuje podjęcie takich działań, i to wielokrotnie wbrew osobistym ocenom i sympatiom. Choć zwycięstwo Trumpa nie jest jeszcze przesądzone. Jest coraz bardziej prawdopodobne, przynajmniej w tej chwili.

OPUBLIKOWALI



▶▶▶ **Profesor UAM Tomasz Brańka** z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa jest współredaktorem publikacji *Re-thinking the Baltic Sea Region: trends and challenges*, która ukazała się nakładem wydawnictwa Uniwersytetu w Uppsali. W 2020 roku międzynarodowa grupa badaczy rozpoczęła prace nad nowym podręcznikiem poświęconym analizie aktualnych trendów w regionie Morza Bałtyckiego, ze szczególnym uwzględnieniem obszaru południowo-wschodniego. W rezultacie powstała publikacja składająca się z 11 rozdziałów, przygotowana przez 13 autorów z 5 państw. Książka uzyskała dofinansowanie Swedish Institute.

▶▶▶ Problemem parujących i oszronionych szyb zajęł się zespół **prof. Hieronima Maciejewskiego**, dyrektora PPNT. Zjawiska te stanowią przeszkodę na przykład w lotnictwie, fotowoltaice, analityce medycznej. Naukowcy opisali badania i wyniki w artykule „Thiol-ene click reaction as an effective tool for the synthesis of PEG-functionalized alkoxysilanes-precursors of anti-fog coatings” opublikowanym w renomowanym czasopiśmie „Scientific Reports”, należącym do grupy Nature.

▶▶▶ Trzech chemików z Wydziału Chemii opublikowało wyniki badań w prestiżowym czasopiśmie „ACS Sustainable Chemistry & Engineering”. Doktor Myong Joon Oh, **prof. Ireneusz Kownacki** i **prof. Maciej Kubicki** opracowali nowatorski katalityczny sposób syntezy organofunkcyjnych silatranów. W przyszłości odkrycie naukowców może przyczynić się do zmiany sposobu wytwarzania krzemowych pochodnych w przemyśle chemicznym (w branżach krzemooorganicznej, polimerów, oponiarskiej).



W zbiorach kartograficznych Biblioteki Raczyńskich udało się odnaleźć kilkadziesiąt bezcennych map, stanowiących część tzw. skarbu Stanisława Latanowicza! O poszukiwaniach zaginionej kolekcji pisaliśmy niedawno na łamach „Życia Uniwersyteckiego”. To dalszy ciąg akcji, która trwa od lat 90. ubiegłego stulecia. Dzięki pracy archiwistów i naukowców UAM, **prof. UAM Piotra Pokory** i **prof. UAM Ewy Syski** z Wydziału Historii oraz doktoranta Łukasza Nowaka (wolontariusza w Bibliotece Raczyńskich) udaje się odnaleźć kolejne fragmenty zbiorów.



Projekt GRIEG kierowany przez **prof. UAM Magdalenę Wrembel** z Wydziału Anglistyki został wybrany jako jeden z przykładowych projektów i umieszczony na stronie Narodowego Centrum Nauki. Pełny tytuł projektu finansowanego przez NCN z Funduszy Norweskich brzmi: „Międzynarodowe badania w wielojęzyczności: Modelowanie nabywania języka trzeciego (L3) w różnorodnych kontekstach [ADIM]”.



Studentki i studenci WFPIK zorganizowali XI edycję Wydziałowego Dnia Kół Naukowych. Było kolorowo i ciekawie.



W Sali Jana Lubrańskiego jubileusz 70. rocznicy urodzin świętował prof. Grzegorz Błaszczuk z Wydziału Historii. Pan profesor jest cenionym badaczem dziejów Wielkiego Księstwa Litewskiego i historii Litwy.

OPUBLIKOWALI



▶▶▶ **Profesor Mariusz Lamentowicz** z Wydziału Nauk Geograficznych i Geologicznych jest współautorem publikacji, która z początkiem nowego roku ukazała się w czasopiśmie „European Journal of Protistology”. Praca nosi tytuł „It’s time to consider the Arcellinida shell as a weapon” i dotyczy skorupki ameby Arcellinida. Zdaniem naukowców pełnią one nie tylko funkcje ochronne, ale mogą być traktowane również jako broń. Ta zmiana perspektywy otwiera wiele nowych ścieżek w protistologii i doprowadzi do istotnych zmian w badaniach ekologicznych, paleoekologicznych i ewolucyjnych.

▶▶▶ **Profesor Łukasz Kaczmarek** z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki w publikacji w prestiżowym czasopiśmie „Emotion” przedstawia, jak skutecznie rozkładać ludzkie uczucia na ich fundamentalne składowe. – Podobnie jak w fizyce naukowcy szukają cząstek elementarnych, tak i w psychologii toczą się spory, jakie elementy są niezbędne, aby opisać strukturę ludzkiej uczuciowości. Razem z moim współautorem, prof. Eddiem Harmon-Jones z UNSW Sydney, bronimy stanowiska, że ładunek motywacyjny ukryty w każdej emocji (dążenie lub unikanie) jest odrębnym składnikiem, którego nie da się sprowadzić do bardziej popularnych ładunków przyjemności i pobudzenia. Przedstawiamy uzasadnienia teoretyczne oraz praktyczne wskazówki, jak badać w psychologii nie tylko najpowszechniejsze zjawiska emocjonalne, ale i rzadsze, nadające naszemu życiu wyjątkowość – tłumaczy opisane badania prof. Kaczmarek.

▶▶▶ Zaangażowanie społeczników i aktywistów w ochronę dóbr kultury – ich zachowanie, dbałość i troska o nie – jest nie do przecenienia. To główna myśl, jaka nasuwa się podczas lektury publikacji *Rola społeczników/aktywistów w systemie ochrony dóbr kultury w Kaliszu* autorstwa **dr Magdaleny Zdrowickiej-Wawrzyniak**. Publikacja trafia na łamy czasopisma „Turystyka Kulturowa”.



Bardzo się cieszymy, że Monika Horna-Cieślak, nowa rzeczniczka praw dziecka, odwiedziła UAM. Złożyła wizytę w Collegium Minus, gdzie rozmawiała z Rektorem UAM, **prof. Bogumiłą Kaniewską**. Po południu spotkała się także ze studentami na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM.



W Collegium Maius odbył się gościnny wykład prof. Riitty Oittinen z Uniwersytetu w Tampere (Finlandia). Nosił tytuł: „The Many Faces of Translation – The Many Faces of Alice” i dotyczył różnych rodzajów tłumaczeń, przede wszystkim tłumaczenia książek obrazkowych dla dzieci. Profesor Oittinen w swoim wystąpieniu skupiła się między innymi na werbalnych i wizualnych aspektach *Alice’s Adventures in Wonderland* w przekładzie.



Kwiecień 2015 roku. Profesor Julian Musielak wraz z żoną dr Heleną Musielak – zastępcami pracownicy Wydziału Matematyki i Informatyki UAM – wypoczywają na ławeczce w parku Wodźlczki. To zdjęcie a także wiele innych można zobaczyć w budynku Collegium Mathematicum na poznańskim Morasku, gdzie od 1 lutego trwa wystawa fotografii z okazji 50-lecia wydziału. [Kurator wystawy: Zdzisława Gierszal]